

PATSY BROOKS

ZAKOCHANE KUNDLE

Tytuł oryginału Puppy Love



1

Helen nie śpieszyła się ani z braniem prysznic, ani z ubieraniem się.

- Nie masz dzisiaj klubu dyskusyjnego? - spytała Shannona, gotowa już do wyjścia z szatni.

- Mam.

- No to się pośpiesz. Spóźnisz się, jeśli się tak dalej będziesz guzdrać.

Helen od kilku minut myślała o tym, żeby zrezygnować ze spotkania klubu.

- Zastanawiam się, czy nie pójść jednak do domu - przyznała się. - Pani Newman dała nam tak popalić, że ledwie stoję na nogach.

Przyjaciółka spojrzała na nią, unosząc brwi. Rzeczywiście, pani Newman nie oszczędzała ich dzisiaj na wuefie. Shannona - tak jak i pozostałe dziewczyny - również była zmęczona i marzyła tylko o tym, by jak najszybciej znaleźć się w swoim pokoju i paść na łóżko. Ale przecież Helen nigdy dotąd nie zrezygnowała ze spotkania klubu dyskusyjnego.

- Nic się nie stanie, jeśli raz nie pójdziesz - powiedziała Shannona. - A ja przynajmniej będę miała towarzystwo - dodała wyraźnie ucieszona.

W poniedziałki i czwartki, kiedy odbywały się spotkania klubu, Shannona, która do niego nie należała, musiała wracać do domu sama.

Poczekala, aż przyjaciółka się ubierze, i razem wyszły z szatni. W połowie korytarza prowadzącego do wyjścia ze szkoły Helen się zatrzymała.

- Wiesz co? - odezwała się z wahaniem. - Może jednak tam pójde...

- Mówiłaś, że ledwie stoisz na nogach.

- Tak, tylko że do myślenia służy mózg, a nie nogi.

- Jak chcesz. - Shannona była nieco zawiedziona. - Nie będę cię namawiać.

- Niepotrzebnie tak długo na mnie czekałaś. Na pewno uciekły ci ze dwa autobusy.

Shannona pokręciła głową.

- Nie. - Spojrzała na zegarek. - Tylko jeden.

- Przepraszam - powiedziała Helen.

- Nie ma za co. No, biegnij już - ponagliła ją Shannona. - Jeśli będziemy tu dalej sterczeć, to mnie rzeczywiście ucieknie drugi autobus, a ty przegapisz jakąś ważną część dyskusji i nie będziesz wiedziała, po jakie sięgać argumenty.

Autobus pewnie by uciekł, ale jej przyjaciółka z pewnością nie miałaby problemów z włączeniem się do dyskusji. Shannona wiedziała, że Helen jest mistrzynią w debatach na

różne tematy i że to właśnie dzięki jej błyskotliwym wypowiedziom i ripostom ich klub dyskusyjny od dwóch lat zajmował pierwsze miejsce w międzyszkolnych rozgrywkach.

Spotkania klubu odbywały się na drugim piętrze, w klasie, w której mieli angielski. Helen pożegnała się z przyjaciółką i ruszyła szybkim krokiem w stronę windy. Widząc, że drzwi się zamykają, zaczęła biec.

Udało jej się zdążyć, zanim winda ruszyła.

- Cześć, Helen! - rzuciła stojąca w środku Sharon Rose.

- Cześć!

- Drugie piętro? - spytała Sharon, po czym wcisnęła guzik, zanim Helen zdążyła otworzyć usta. - Chyba już jesteśmy spóźnione - powiedziała i spojrzała na zegarek.

Helen popatrzyła na nią zdziwiona. W poprzednich latach obie należały do klubu, ale pod koniec zeszłego roku szkolnego Sharon stwierdziła, że ich tematy dyskusji stały się nudne, i zapowiedziała, że w ostatniej klasie nie będzie na nie przychodzić. Rzeczywiście, po wakacjach nie pojawiła się na żadnym z trzech spotkań, jakie się dotąd odbyły.

- Jednak się rozmyśliłaś - zauważyła Helen, kiedy wysiadły z windy.

- Słyszałam, że teraz, kiedy opiekunem klubu został pan Williams, jest zupełnie inaczej niż z panią Fuentes - odparła Sharon. - Podobno o wiele ciekawiej.

- Hm... - Helen zamyśliła się. - Inaczej? Tak, z pewnością. Ale czy ciekawiej?

- Zaczekaj chwilę - poprosiła Sharon, zatrzymując się przed drzwiami klasy. Sięgnęła do torby i zaczęła w niej czegoś szukać.

Helen ze zniecierpliwieniem patrzyła, jak koleżanka wyciąga puderniczkę, błyszczący i tusz do rzęs.

- Zwariowałaś?! - rzuciła. - Będiesz teraz robić makijaż? - Pokręciła głową. - Jak chcesz! Ale ja wchodzę do środka.

- Zaczekaj! - zawołała Sharon i zastąpiła jej drogę. - Jak wyglądam?

- Normalnie.

Sharon najwyraźniej „normalnie” nie wystarczało. Zaczęła odkręcać tusz do rzęs.

- Daj spokój - powstrzymała ją Helen. - Wyglądasz ślicznie - powiedziała absolutnie szczerze.

Sharon mogłaby wzbudzić zazdrość innych dziewcząt, nawet gdyby włożyła zgrzebny worek, umazała się sadzą i rozczochrała włosy.

- Mówisz prawdę? - upewniła się.

- No jasne.

Helen właśnie położyła rękę na klamce, kiedy coś przyszło jej na myśl. Rzuciwszy

okiem na koleżankę, upewniła się, że Sharon postanowiła znów przychodzić na spotkania wcale nie z powodu pana Williamsa.

Energicznie nacisnęła klamkę i weszła do środka.

Pierwszą osobą, którą zobaczyła, był on. Chłopak, przez którego od tygodnia zastanawiała się, czy nie wypisać się z klubu. Ten, z powodu którego Sharon zdecydowała się jednak zostać.

Andy Savage uśmiechał się. Niektóre dziewczyny - pewnie większość - uważałyby, że ten uśmiech jest czarujący. Helen uznała go za bezczelny.

- Spóźniłyście się - rzekł pan Williams.
- Przepraszamy - powiedziały jednocześnie.
- Nic się nie stało. Tyle tylko, że przegapiłyście głosowanie.

Na początku spotkań każdy, kto miał jakiś pomysł, mógł podać temat. Zdarzało się, że propozycja padała tylko jedna, ale kiedy było ich więcej, o wyborze decydowało głosowanie.

Helen spojrzała na tablicę. Były na niej wypisane trzy tematy, a przy każdym liczba głosów, które na nie padły.

Czy młodzież należy oswajać z przemocą, czy ją przed nią chronić? - 5

Bardzo sensowny temat, pomyślała i rozejrzała się po klasie. Była niemal pewna, że wymyślił go Alex Liman. W dyskusjach często stali po przeciwnych stronach, co nie zmieniało faktu, że bardzo go cenila.

Czy spożywanie mięsa nie jest tym samym co kanibalizm? - 1

W tym wypadku również nie miała wątpliwości, kto jest autorem. Katie Wilkinson została wegetarianką wprawdzie niedawno, za to tak zagorzała, że najchętniej zamordowałaby wszystkich ludzi, którzy dla kawałka mięsa mordują biedne zwierzęta. Koleżanki i koledzy mieli już dosyć jej agresywności - nawet Helen, która, choć sama była wegetarianką, nie tolerowała jakichkolwiek przejawów fanatyzmu.

Nic dziwnego, że na temat zaproponowany przez Katie głosowała tylko jedna osoba - ona.

Czy dziewczyny w okularach naprawdę są mądrzejsze niż pozostałe, czy tylko za takie uchodzą? - 6

- No nie! - rzuciła Helen, nie potrafiąc ukryć niezadowolenia. - Nie moglibyśmy powtórzyć głosowania? - zwróciła się do opiekuna.

Była jeszcze szansa, oczywiście pod warunkiem, że Sharon - tak jak ona - zagłosowałaby na pierwszy temat.

Pan Williams jednak postukał palcem w zegarek i pokręcił głową.

Helen zerknęła lekceważąco na Andy'ego Savage'a. To on wymyślił ten idiotyczny temat - co do tego nie miała wątpliwości.

Idąc do stołu, przy którym zawsze siedziała, musiała go minąć. Uniosła dumnie głowę, ale zrobiła to tak gwałtownie, że okulary zsunęły jej się z nosa i spadły na podłogę.

Andy Savage - wciąż z tym swoim bezczelnym uśmiechem - podniósł je i wyciągnął rękę w jej stronę.

Miała ochotę powiedzieć mu, że kursy komików, które prowadzi pan Anderson, są w środy. Poczula jednak, że się czerwieni, więc czym prędzej wzięła od Andy'ego okulary i usiadła na swoim miejscu.



- I co? I co? - dopytywała się następnego dnia Shannona, kiedy Helen zwierzyła jej się, że ma już dosyć klubu dyskusyjnego i myśli o tym, czy się nie wypisać.

- A co byś chciała wiedzieć? - spytała Helen. Była zdziwiona. Jej przyjaciółka nigdy dotąd nie interesowała się spotkaniami klubu.

- O czym mówiliście - odparła Shannona. - Bo, że pokonałaś go w dyskusji, to chyba jasne.

- Jak można kogoś pokonać w dyskusji na tak kretyński temat?! Jak w ogóle można rozmawiać o czymś tak idiotycznym?! Już naprawdę wolałabym przekonywać przeciwników, że każdy, kto nie jest wegetarianinem, to kanibal.

- I jestem pewna, że by ci się udało.

- Być może.

- A wczoraj nie udało ci się przekonać innych, że dziewczyny w okularach są mądrzejsze? - spytała Shannona.

- Asą?

- Popatrz na siebie.

- Właśnie... - Helen zmarszczyła czoło.

- Co właśnie?

- Wiesz, podejrzewam, że on wymyślił ten temat specjalnie, żeby mi dokopać. Byłam jedyną dziewczyną w okularach.

Shannona popatrzyła na nią z powątpiewaniem.

- Dlaczego miałbyś chcieć ci dokopać?

- Czy ja wiem? Pewnie dlatego, że mnie nie lubi.

- Wiesz, jak takie zjawisko nazywa się w psychologii? Przeniesienie. Ty go nie lubisz, więc wydaje ci się, że on nie lubi ciebie. Pytanie tylko, dlaczego go nie lubisz. - Shannona zaczęła się uważnie przyglądać przyjaciółce.

- Nie patrz na mnie tak, jakbym już leżała na kozetce w gabinecie, którego jeszcze nie masz i nie wiadomo, czy będziesz miała. A nawet jeśli będziesz miała, to ja na pewno nie zostanę twoją pacjentką - zapowiedziała Helen.

- Czujesz się zagrożona.

- Co mi może zagrażać?

- Nie co, tylko kto - sprostowała Shannona. - Andy Savage.

- Wiesz, chyba jednak powinnaś się poważnie zastanowić nad tym, czy studiować psychologię. Kiepska będzie z ciebie psychoterapeutka.

- Andy Savage - ciągnęła Shannona, ani trochę niezrażona krytyką przyjaciółki - zagraża twojej pozycji w klubie dyskusyjnym.

- Daj spokój! Przecież to pajac!

- Jeśli rzeczywiście jest pajacem, to sobie z nim poradzisz. Zjesz go z kaszką na śniadanie.

- Nie wiem, jak się walczy z pajacami - odparła Helen. - Zrozum, to nie mój poziom.

Nie była całkiem szczerą wobec przyjaciółki. Andy Savage, owszem, błaznował, ale był inteligentny. Nawet wczoraj, podczas gdy jej nie udało się wymyślić choćby jednego sensownego argumentu - ani za, ani przeciw - on kilka razy zaskoczył ją dowcipnymi i trafnymi wypowiedziami.

- Poradzisz sobie - uspokoiła ją Shannona.

- Ciekawe jak. - Helen zastanawiała się chwilę. Na jej twarzy pojawił się złośliwy uśmiech. - Chyba wiem w jaki sposób.

- W jaki?

- Wymyśliłam temat na następne spotkanie klubu - powiedziała Helen. - Czy rudzi rzeczywiście są wredni?

- Żartujesz! - Shannona spoglądała na nią z niedowierzaniem. - Nie zrobisz tego.

- A niby dlaczego?

- Bo... bo to poniżej twojego poziomu.

- Hmm... - Helen wzruszyła ramionami. - Może masz rację.

- Tak nawiasem mówiąc, to zawsze mi się podobali chłopcy z rudymi włosami. A ten Andy Savage jest całkiem, całkiem.

- Następna fanka! - prychnęła Helen.

- Następna?

- Wiesz, że Sharon Rose znów zaczęła przychodzić na spotkania klubu? I jak myślisz, dlaczego?

- Z powodu Andy'ego? - Shannona uśmiechnęła się. - Może ja też się zastanowię...

- Nie rób mi tego - poprosiła Helen błagalnym tonem.

- W zeszłym roku namawiałaś mnie, żebym się zapisała.

- Ale w zeszłym roku Andy Savage nie chodził do naszej szkoły i spotkania w klubie dyskusyjnym nie przypominały farsy.

- Rozumiem, że jako przyjaciółka próbujesz mnie uchronić przed udziałem w tej

farsie.

- Niezupełnie o to mi chodzi.

- Więc o co?

- Obawiam się, że gdybyś zaczęła przychodzić, to po pierwszym spotkaniu zostałąbyś członkinią, tyle że nie klubu dyskusyjnego, ale fanklubu Andy'ego Savage'a.

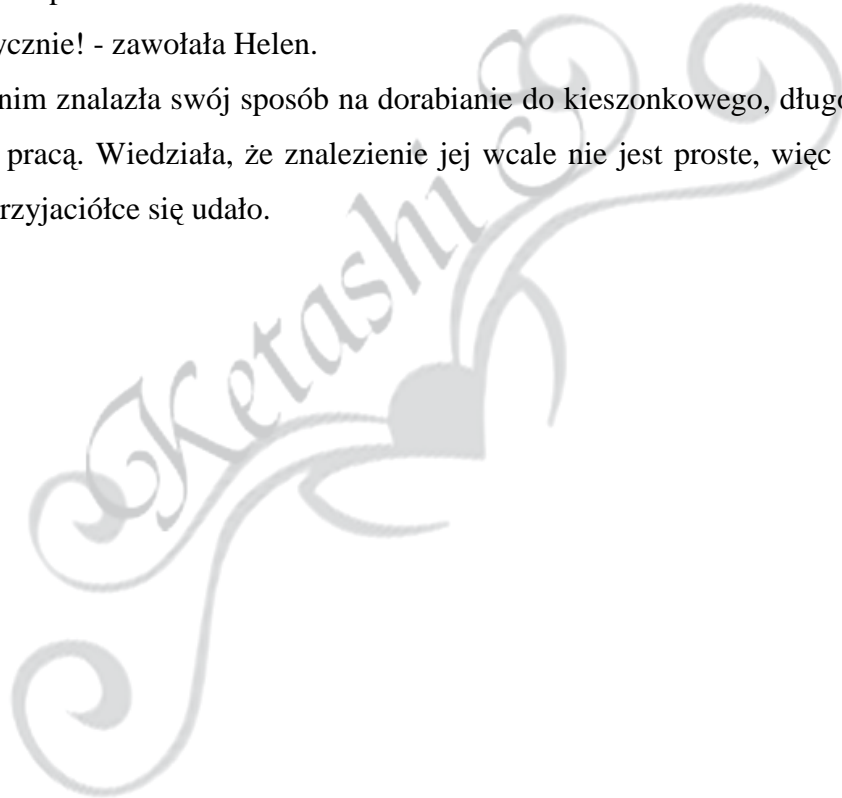
- I to by było takie straszne?

- Owszem - odparła Helen. - Nie zniósłabym tego, że nawet najlepsza przyjaciółka jest przeciwko mnie.

- Nie martw się. Żartowałam. Zresztą nawet gdybym chciała, nie mogłabym przychodzić. Znalazłam pracę w wypożyczalni kaset, i to w poniedziałki i czwartki, akurat w te dni, kiedy macie spotkania.

- Fantastycznie! - zawołała Helen.

Sama, zanim znalazła swój sposób na dorabianie do kieszonkowego, długo rozglądała się za dorywczą pracą. Wiedziała, że znalezienie jej wcale nie jest proste, więc ucieszyła ją wiadomość, że przyjaciółce się udało.



Helen po raz trzeci nacisnęła dzwonek. Miała nadzieję, że nie będzie musiała znów stać kwadrans przed domem pani Dalton, tak jak zdarzyło się to w zeszłym miesiącu, kiedy starsza pani zapomniała włożyć aparat słuchowy i nic nie słyszała.

Nacisnęła jeszcze raz i czekała cierpliwie, w przeciwieństwie do popiskującego białego mieszańca, Bon - bona, który, stojąc na tylnych łapach, przednimi drapał drzwi.

- Spokojnie, Bonbon - uciszyła go Helen, słysząc szuranie stóp w przedpokoju. - Zaraz przyjdzie twoja ukochana.

Chwilę trwało, zanim pani Dalton otworzyła drzwi. Była w kwiecistym pikowanym szlafroku, a na głowie miała wałki. Ten widok wcale dziewczyny nie zaskoczył - starsza pani zawsze ją tak witała. Helen natomiast zdumiało, że nie przybiegła z nią jej ulubienica, Mimi.

- Dzień dobry.

- Ach, to ty, Helen. Witaj.

Pani Dalton zachowywała się dość dziwacznie. Patrzyła na nią tak, jakby była zaskoczona jej pojawieniem się.

- Przyszłam po Mimi - oznajmiła Helen, zastanawiając się, czy starsza pani, oprócz głuchoty, nie cierpi na inną przypadłość podeszłego wieku, czyli sklerozę.

- Dzwoniłam do ciebie. Nikt nie odebrał telefonu, więc nagrałam się na sekretarkę.

- Nie byłam w domu. Przyjechałam tu od razu po szkole.

Dziewczynę zaniepokoiła nieobecność Mimi. Bonbon zaczął przeraźliwie piszczeć i szarpać smycz. Helen chwyciła ją mocniej w obawie, że pies się wyrwie i wbiegnie do domu, żeby szukać swojej ulubionej towarzyszki.

- Gdzie jest Mimi? - spytała.

Wiedziała, że jeśli suczka byłaby gdzieś w pobliżu, już dawno witałaby się z Bonbonem. Jeżeli coś takiego jak psia miłość istnieje nie tylko w kreskówkach, to te dwa kundle były w sobie zakochane bez pamięci.

Pani Dalton sprawiała takie wrażenie, jakby nie wiedziała, co powiedzieć.

- Czy coś się z nią stało? - Helen była już bardzo zaniepokojona.

- Nie, wszystko w porządku. Ale...

- Tak?

- Nie wiem, jak ci to powiedzieć.

- Więc jednak coś się stało.

- Nie, tylko...

- Tylko co? - spytała Helen, nie kryjąc zniecierpliwienia.

- Ktoś inny będzie ją teraz wyprowadzał na spacer.

Helen odetchnęła z ulgą, że Mimi nie przytrafiło się nic złego, ale po chwili poczuła się zawiedziona. Lubiła tę żywiołową suczkę, nie wspominając już o tym, że utrata jednego z pięciu psów, które wyprowadzała na spacer, oznaczała jedną piątą zarobków mniej.

- Ktoś inny?

Pani Dalton musiała usłyszeć rozczarowanie w jej głosie.

- Ktoś z firmy - wyjaśniła.

- Z firmy? - zdziwiła się Helen. Starsza pani skinęła głową.

- Specjalizują się w opiece nad psami. To profesjonaliści.

- No tak - rzuciła Helen. - Profesjonaliści - dodała gorzko.

Pomyślała, że żeby wyprowadzać psy na spacer, nie trzeba być profesjonalistą, wystarczy tylko je kochać. Przemilczała to jednak. Pani Dalton i tak była bardzo speszona.

- Helen - powiedziała, kiedy dziewczyna pożegnała się i zamierzała odejść. - Przepraszam.

- Nie ma za co. Nic się nie stało.

- Wiem, że dobrze opiekowałaś się Mimi. Ale ta firma zaproponowała niższe ceny, a ja muszę się liczyć z każdym centem.

- Rozumiem.

Helen wiedziała, że pani Dalton się nie przelewa. Mimo to miała do niej żal, że nie porozmawiała z nią, zanim zdecydowała się powierzyć opiekę nad Mimi jakiejś bezosobowej, bezdusznej firmie. Choć stawka Helen nie była zbyt wygórowana - za godzinę dostawała pięć dolarów - to na pewno zgodziłyby się ją obniżyć.

- Do widzenia - powiedziała, próbując się uśmiechnąć. - Chodź, Bonbon.

Pies za nic jednak nie chciał się ruszyć sprzed drzwi. Zapierał się tak, że w końcu musiała go wziąć na ręce.

Potem, kiedy postawiła go na ziemi, wciąż się odwracał, nie mogąc zrozumieć, dlaczego Mimi nie idzie z nimi na spacer.

Tego dnia Helen wyprowadziła na spacer cztery psy. Następnego dnia już tylko trzy.

Zanim wyszła do szkoły, zadzwoniła pani Patton, właścicielka pudła, Cezara.

Helen od razu się domyśliła, o co chodzi.

- Rozumiem - powiedziała, wysłuchawszy jej. - Teraz Cezara będzie wyprowadzała na spacer firma.

- Skąd to wiesz? - zdziwiła się pani Patton. - Nie wspomniałam nic o firmie.
- Domyśliłam się.
- Ach, tak. W takim razie do usłyszenia.
- Proszę pani! - zawołała Helen, zanim pani Patton odłożyła słuchawkę.
- Tak?
- Zapłaciła mi pani za cały miesiąc. A mamy dopiero początek, więc powinnam oddać część pieniędzy.
- Możesz je zatrzymać.

Pani Patton, mieszkająca w eleganckim domu żona wziętego dentysty, raczej nie zrezygnowała z jej usług, żeby zaoszczędzić kilka dolarów. Ją z pewnością skusił „profesjonalizm”.

Helen pocieszała się tym, że Cezar nie był jej ulubionym psem, czemu wcale się nie dziwiła - trudno być miłym zwierzęciem, jeśli się ma taką właścicielkę jak pani Patton. Niemniej Helen w ciągu dwóch dni straciła dwa psy - dwie piąte swoich zarobków.

Był dopiero wtorek i z przerażeniem myślała o tym, że jeśli tak dalej pójdzie, to do końca tygodnia nie zostanie jej żaden pies do wyprowadzania i, jak Shannona, będzie musiała szukać innej pracy.

Na tablicy były wypisane trzy tematy dyskusji.

Czy ludzie spożywając mięso powinni być stawiani przed sądem pod zarzutem morderstwa z premedytacją?

Wiadomo - Katie Wilkinson.

I, oczywiście, tylko jeden głos - głos Katie Wilkinson, której niespożywanie mięsa chyba nie służyło, bo zaczęła najwyraźniej niedomagać na rozumie.

Czy warto inwestować na badanie kosmosu w sytuacji, gdy miliony ludzi umierają z głodu?

Również tylko jeden głos. Głos Helen, która prawdopodobnie też zaczęła niedomagać na rozumie, skoro nie była w stanie wymyślić innego tematu niż ten. Owszem, był istotny, ale nigdy dotąd nie zniżyła się do tego, by zaproponować temat omawiany w mediach częściej, niż się ostatnio mówiło o rozstaniu Toma Cruise'a i Penelope Cruz.

Teraz, kiedy patrzyła na tablicę, ze wstydu aż skręcało ją w żołądku.

Wcale się nie dziwiła, że podczas głosowania tylko ona podniosła rękę. I zrobiła to tylko dlatego, że pan Williams nie spuszczał z niej wzroku. Pewnie nie mieściło mu się w głowie, że ktoś, kto zaproponował jakiś temat, potem na niego nie głosuje.

Z drugiej strony, cóż miała do wyboru? Skazywanie wszystkich, którzy nie są wegetarianami, na krzesło elektryczne albo:

Psy czy koty?

Gdyby ktokolwiek inny zgłosił ten temat, nie wahałaby się ani chwili.

Kiedy zapisywała się do klubu dyskusyjnego, nie snuła planów na przyszłość, nie miała jeszcze pojęcia, co chce robić w życiu. Teraz była już pewna, że chce studiować prawo i zostać adwokatem. Zdawała sobie sprawę, na czym polega istota tego zawodu. Chociaż bardzo jej się to nie podobało, wiedziała, że adwokaci nie zawsze mogą postępować zgodnie ze swoim sumieniem. Wyobrażała sobie jednak, jaką satysfakcję musi im sprawiać występowanie w słusznej sprawie. I wygrywanie jej!

I właśnie dzisiaj miałyby okazję bronić słusznej sprawy, jak z rękawa wytrząsać argumenty wykazujące wyższość psów nad kotami.

Ale ten temat zgłosił Andy Savage, nie mogła więc na niego głosować.

- Kto zamierza bronić psów, siada po prawej, kto kotów, po lewej - zarządził pan Williams.

Nikt się nie ruszył z miejsca. Było tak jak na poprzednich spotkaniach - dziewczęta i chłopcy czekali, aż pierwszy zdecyduje się Andy Savage. Wyglądało na to, że chcieli być w jego drużynie.

Tylko Helen zwlekała z innego powodu. Ona chciała być przeciwniczką Andy'ego.

- Cholera - powiedziała stłumionym szeptem, gdy usiadł przy długim stole po prawej.

Inni ruszyli za nim.

- Ty też? - zdziwiła się Helen, widząc, że Sharon Rose również zamierza przejść na tamtą stronę. - Przecież ty masz w domu trzy koty - szepnęła.

- No właśnie. Więc sama rozumiesz, że mam prawo mieć ich dosyć. A ty? Zostajesz tutaj?

Helen spojrzała na boki. Przy stole po lewej, przy którym mieli siedzieć zwolennicy kotów, została już tylko ona.

- Przecież ty żyjesz z psów - przypomniała jej Sharon.

- No to chyba też mam prawo mieć ich dosyć. A poza tym, co to za dyskusja, jeśli wszyscy będą zachwycać się psami i mieszać z błotem koty?

- Jak uważasz...

Helen zdarzało się już, że w pojedynkę broniła jakiejś sprawy, dziś jednak czuła się wyjątkowo nieswojo, zwłaszcza że Andy Savage siedział na wprost niej i uśmiechał się wyzywająco.

Postanowiła jednak nie dać się onieśmielić i pokazać, że tak łatwo mu z nią nie pójdzie. Poza obiegowymi opiniami, jak te, że koty są niezależne i mają charakter, nie wiedziała wiele o tych zwierzętach, nie miała więc wyboru, jeśli chodzi o taktykę. Musiała się skupić nie na obronie kotów, lecz na atakowaniu psów.

Od razu wytoczyła działa i wymieniła kilka przykładów pogryzień, które kończyły się okaleczeniem, a nawet śmiercią ludzi. Nie dalej jak w zeszłym tygodniu miejscowe media trąbiły o tym, jak rottweiler zagryzł dziecko.

- Czy ktoś kiedyś słyszał o kotach mordercach? - zakończyła swą długą wypowiedź.

Nikt nie słyszał, a argumenty przeciwnej strony o tym, jakie to psy mogą być miłe i przyjacielskie, jak pomagają niepełnosprawnym, szukają narkotyków i ofiar katastrof, wypadły dosyć blado na tle jej relacji o krwawych jatkach z ich udziałem.

Potem nie omieszkała wspomnieć, że bywają głośne i szczekaniem nieraz doprowadzają do szału całe sąsiedztwo, że potrafią być natrętne w domaganiu się pieszczot. No i te psie kupy, w które - mimo kar nakładanych przez władzę na właścicieli niesprząających po swoich pupilach - wszędzie można wdepnąć!

W klubie nie było sędziego ani ławy przysięgłych; dyskusje nie kończyły się werdyktem. Nikt nie ogłaszał, że wygrała ta czy tamta strona, ale kiedy Helen wychodziła ze spotkania, z satysfakcją myślała o tym, że dzisiaj nie przegrała.

Zwolniła kroku, widząc, że przy windzie, oprócz kilku innych osób, stoi Andy. Wołała poczekać na następną albo pójść pieszo. Zauważył ją jednak i przytrzymał drzwi, czekając, aż Helen wejdzie.

Kiedy winda ruszyła, poczuła na sobie jego wzrok.

- Pogryzł cię kiedyś jakiś pies? - zapytał, gdy zjechali na parter.

- Mówisz do mnie? - spytała zaskoczona. Chodził do ich szkoły dopiero od trzech tygodni.

Poza spotkaniami w klubie dyskusyjnym widywali się tylko raz w tygodniu na lekcjach historii sztuki. Nigdy dotąd nie rozmawiali poza klasą. Andy skinął głową.

- Nie, nie pogryzł mnie żaden pies - odparła. - Skąd ten pomysł?

- Zastanawiam się, dlaczego ich tak nie lubisz.

- Nie wiem, czy wiesz, ale w klubach dyskusyjnych niekoniecznie broni się spraw, w które się wierzy.

- Ale ty dzisiaj mówiłaś z takim przekonaniem, że musiałaś być zaangażowana emocjonalnie. Uznałem więc, że nie znosisz psów.

- Bzdura - powiedziała, wzruszając ramionami. Musiała jednak przyznać, że nie mylił się co do jej emocji, tyle że nie były one związane ani z psami, ani z kotami. I jeżeli czegoś albo kogoś nie znosiła, to na pewno nie psów.

Psy zemściły się na Helen jeszcze tego samego dnia, w którym je tak zaciekle atakowała. Może nie tyle one, co ich właściciele, a konkretnie jeden z nich, pan Hudson.

- A, właśnie! - powiedział, kiedy odprowadziła jego golden retrieverkę. - Jest taka sprawa... Znaleźliśmy kogoś innego do wyprowadzania jej na spacer.

Helen z żalem spojrzała na suczkę, która była wyjątkowo sympatycznym i dobrze ułożonym zwierzęciem.

- No cóż, Blondi, będziemy musiały się pożegnać. Blondi, jakby zrozumiała, co mówi Helen, polizała ją po ręce.

- Będziesz teraz wychodziła na spacer z profesjonalistami.

Pan Hudson spojrzał na nią zaskoczony.

- Skąd wiesz?

- Już wkrótce wszystkie psy w okolicy znajdą się pod profesjonalną opieką - odparła Helen.

- Widzisz, ta firma ma szerszy zakres usług.

- Tak? A cóż takiego oferuje?

- Na przykład, wywożenie psów za miasto, żeby mogły się wybiegać - wyjaśnił. - Z tobą wychodziła tylko na smyczy.

- No tak, ja tego rzeczywiście nie mogę zaproponować - przyznała Helen. - Nie mam samochodu.

Zdawała sobie sprawę, że psy niektórych ras potrzebują więcej ruchu i nie można im go zapewnić, spacerując po ulicach albo miejskich parkach, zatem czarno widziała swoją przyszłość.

Pożegnała się z panem Hudsonem i poszła odprowadzić pozostałe dwa psy. Państwo Lucasowie, właściciele labradora, Onyksa, mieszkali przy sąsiedniej ulicy.

Onyks przywitał swoją panią tak wylewnie, jakby nie widział jej od tygodnia.

Helen szybko się z nią pożegnała, obawiając się, że jeśli zostanie choć chwilę dłużej, usłyszy kolejną tego dnia złą wiadomość.

- Helen! Zaczekaj chwilę! - zawołała pani Lucas. Więc jednak, pomyślała dziewczyna.

- Nie zapłaciłam ci jeszcze za ten miesiąc. Odetchnęła z ulgą. Był trzydziesty wrzesień, a właściciele Onyksa zawsze pod koniec miesiąca wystawiali Helen czek.

- Wejdz do środka - poprosiła pani Lucas. Dziewczyna poszła za nią, ciągnąc za sobą

Bonbona, który od czasu, kiedy Mimi przestała z nimi wychodzić na spacer, stał się krnąbrny i uparty.

Gospodyni wskazała jej miejsce na kanapie w salonie.

- Może napijesz się czegoś zimnego? - zaproponowała.

- Nie, dziękuję - odparła Helen, przysiadając na brzegu kanapy. - Ale chciałabym panią o coś zapytać.

- Pytaj, proszę.

- Czy nie zgłosiła się do państwa firma specjalizująca się w opiece nad psami?

Pani Lucas zastanawiała się chwilę.

- Tak! - przypomniała sobie. - Mąż mówił kilka dni temu, że był tu przedstawiciel takiej firmy.

Podeszła do staroświeckiego sekretarzyka i zaczęła przekładać papiery.

- O, jest! Zostawił wizytówkę - powiedziała i wręczyła ją Helen.

Dziewczyna spojrzała na kartonik z zabawnym rysunkiem psa, jak z kreskówki, i nazwą firmy: „PSIE SZALEŃSTWO. Profesjonalna opieka nad psami”. Na odwrocie były numery telefonów - stacjonarny i komórkowy.

- I co? - odezwała się niepewnie.

Pani Lucas dopiero po chwili zorientowała się, o co jej chodzi.

- Pytasz, czy ta firma nas nie skusiła, tak? - Uśmiechnęła się i pokręciła głową. - Nie. Od roku wyprowadzasz naszego psa i jesteśmy z ciebie bardzo zadowoleni. - Pogłaskała swojego ulubieńca po głowie i dodała: - Onyks zresztą też, prawda?

Wyjęła z szuflady sekretarzyka książeczkę i zaczęła wypisywać czek.

- Powiedz, czy ta firma sprawia ci kłopoty? - spytała, unosząc głowę.

- Z pięciu psów, które wyprowadzałam na spacer, został mi tylko Onyks i Bonbon - przyznała się Helen. - Więc chyba sprawia.

- Ach, te firmy, korporacje... - Pani Lucas westchnęła ciężko. - Wiesz, może spróbuję ci jakoś pomóc. Popytam wśród sąsiadów. Przy naszej ulicy prawie w każdym domu jest pies. Na pewno znajdą się jacyś chętni.

Helen zerknęła na wizytówkę.

- Jeśli firma PSIE SZALEŃSTWO nie dotrze do nich pierwsza.

- Nie będzie tak źle - pocieszyła ją pani Lucas i wręczyła czek.

- Dziękuję bardzo. Za czek i za chęć pomocy. Aha... Mogłabym zatrzymać tę wizytówkę? - Helen nie miała pojęcia, do czego może jej się przydać, wołała jednak mieć namiary na konkurencję.

- Oczywiście, że tak.

Opuszczając dom państwa Lucasów, była w znacznie lepszym humorze niż w chwili, gdy do niego wchodziła. Straciła trzy psy, ale pozostał jej Onyks i Bonbon. Co do Bonbona, była właściwie spokojna. Jego właścicielka, pani Irving, była dobrą znajomą jej matki. Helen nie przypuszczała więc, że powierzy wyprowadzanie swojego pupila komuś innemu.

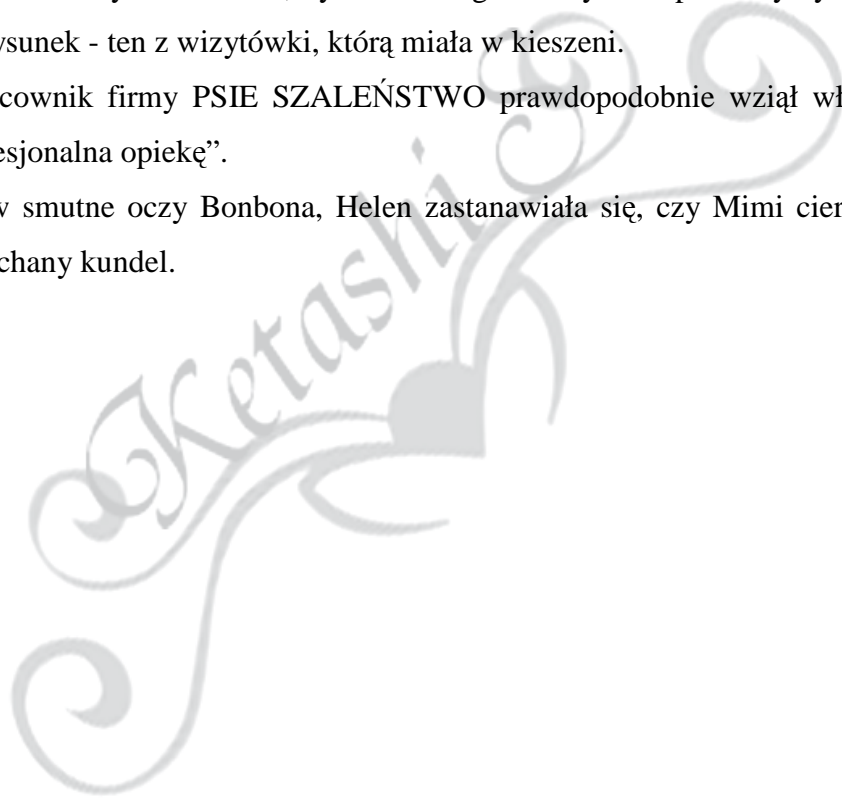
Na pierwszym skrzyżowaniu Bonbon zapiszczał i zaczął się wrywać do przodu. Nie był dużym psem, ale szarpał smycz tak mocno, że Helen musiała ją trzymać z całej siły.

Tak było zawsze, kiedy mijali skrzyżowanie z ulicą, przy której mieszkała Mimi. Nigdy jednak nie skomlał tak żałośnie jak dzisiaj.

Zrozumiała dlaczego, gdy spojrzała w prawo. Spod domu pani Dalton właśnie odjeżdżała furgonetka. Była za daleko, by Helen mogła odczytać napis na tylnych drzwiach, ale rozpoznała rysunek - ten z wizytówki, którą miała w kieszeni.

Jakiś pracownik firmy PSIE SZALEŃSTWO prawdopodobnie wziął właśnie Mimi pod swoją „profesjonalną opiekę”.

Patrząc w smutne oczy Bonbona, Helen zastanawiała się, czy Mimi cierpi teraz tak samo jak jej ukochany kundel.



Shannona promieniała z radości. Poprzedniego dnia otrzymała prawo jazdy i dziś po raz pierwszy jechała do szkoły chryslerem pożyczonym od mamy. Po drodze wstąpiła po przyjaciółkę.

- Wiesz, że ja chyba też powinnam się postarać o prawo jazdy - powiedziała Helen, wsiadając do samochodu.

- Pozazdrościłaś mi, prawda? A kiedy nie tak dawno przekonywałam cię, że powinnaś je sobie załatwić, upierałaś się, że do niczego nie jest ci potrzebne.

- Ludzie czasami zmieniają zdanie. - Helen zamyśliła się i po chwili dodała: - Zwłaszcza kiedy są przyparci do muru.

- O rany! Kto cię przyparł do muru?

- Psie Szaleństwo.

Shannona nie miała jeszcze takiego doświadczenia w prowadzeniu samochodu, żeby móc oderwać wzrok od drogi, ale kątem oka zerknęła na przyjaciółkę.

- To ta firma, która podbiera mi psy - odparła Helen. Już wcześniej opowiadała jej o swoich kłopotach. - Ta, która zapewnia im profesjonalną opiekę.

- Wiem. Ale co ona ma wspólnego z prawem jazdy?

- Pracownicy Psiego Szaleństwa wywożą psy za miasto, żeby mogły się swobodnie wybiegać - wyjaśniła Helen. - Gdybym ja miała prawo jazdy, też mogłabym zaproponować klientom taką usługę.

- To prawda - przyznała Shannona.

- Guzik prawda - powiedziała Helen po chwili. - Skąd wzięłabym samochód? Nie mogłabym wozić psów w cadillaca rodziców, bo mama jest uczulona na ich sierść.

. - Ale może mogłabyś kupić sobie jakiegoś starego grata - wpadła na pomysł Shannona.

- Ciekawe za co?

Helen uświadomiła sobie, że była dotąd stanowczo zbyt rozrzutna. Od roku wyprowadzała psy i gdyby zaoszczędziła przynajmniej połowę zarobionych pieniędzy, być może wystarczyłoby jej na kupno przynajmniej zdezelowanego pikapa.

Teraz będzie zarabiać zaledwie dwie piąte tego co dotychczas, ale obiecała sobie, że się dziesięć razy zastanowi, zanim wyda choćby jednego dolara.

Shannona wjechała na szkolny parking i zaczęła się rozglądać za wolnym miejscem.

Wypatrzyła jedno po prawej stronie i zamierzała tam skręcić, ale przyjaciółka ją powstrzymała.

- Zaczekaj! - zawołała. - Jedź tam!

- Gdzie? Przecież tam wszystko jest zajęte.

- Nie szkodzi - rzuciła Helen. - Skręć w lewo.

Shannona chwilę się ociągała, w końcu jednak zrobiła to, o co została poproszona.

- Mówiłam ci, że tu nie ma żadnego wolnego miejsca - powiedziała.

- Stań tu!

- Po co? - zdziwiła się Shannona.

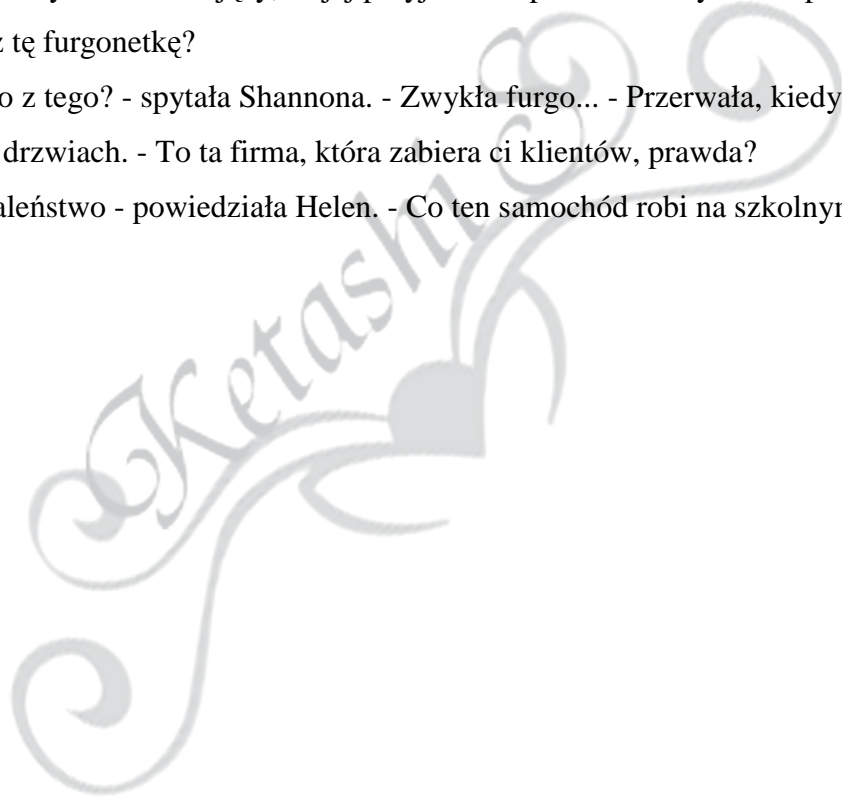
- Nie pytaj, tylko się zatrzymaj.

Głos Helen był tak alarmujący, że jej przyjaciółka posłusznie wykonała polecenie.

- Widzisz tę furgonetkę?

- Tak. I co z tego? - spytała Shannona. - Zwykła furgo... - Przerwała, kiedy przeczytała napis na tylnych drzwiach. - To ta firma, która zabiera ci klientów, prawda?

- Psie Szaleństwo - powiedziała Helen. - Co ten samochód robi na szkolnym parkingu?



- Nie masz dzisiaj spotkania w klubie dyskusyjnym? - spytała Shannona, widząc, że po lekcjach jej przyjaciółka, zamiast do windy, idzie w stronę szatni.

- Mam, ale najwyżej trochę się spóźnię.

- W zeszłym tygodniu, kiedy się spóźniłaś, przegłosowali temat, którym chyba nie byłaś zachwycona. Chodzi o Andy'ego Savage'a, prawda?

Helen pokręciła głową, ale Shannona jej nie uwierzyła.

- Przyznaj się - powiedziała. - Nie możesz się pogodzić z faktem, że jest dla ciebie konkurencją.

- Nieprawda! - zaprotestowała Helen. - On w tej chwili nie jest moim największym problemem. Ale w pewnym sensie masz rację - dodała po chwili. - Chodzi o konkurencję. Muszę wyciąć, kto przyjechał tą czerwoną furgonetką.

Na każdej przerwie wybiegała ze szkoły i sprawdzała, czy samochód Psiego Szaleństwa stoi na parkingu. Wciąż tam był, wszystko wskazywało więc na to, że przyjechał nim któryś z uczniów albo pracowników. Żeby się dowiedzieć kto to taki, musiała być na parkingu, kiedy skończą się lekcje, nawet jeśli z tego powodu miałyby się spóźnić na spotkanie klubu.

- Poczekam z tobą - zaproponowała Shannona, kiedy wyszły z budynku.

- Nie trzeba.

- Zamierzasz stać w tej ulewie?

Wraz z październikiem rozpoczęła się jesień, typowa dla Nowej Anglii, deszczowa, wietrzna i zimna.

Kiedy Helen wychodziła z domu, nie zanosilo się na deszcz, miała więc na sobie lekką dzinsową kurtkę.

- Nigdzie mi się nie śpieszy - zapewniła ją przyjaciółka. - Wsiądziemy do samochodu i poczekam z tobą te kilka minut.

Proponując to, nie przypuszczała, że z kilku minut zrobią się niemal dwie godziny.

Z parkingu odjechały prawie wszystkie wozy. Została tylko furgonetka i pięć innych samochodów.

- Już jesteś spóźniona - zauważyła Shannona, spoglądając na zegarek.

- Nic się nie stanie, jeśli raz się tam nie pojawię. Poradzą sobie beze mnie.

- Wiesz co? A może ty pójdziesz, ja tu poczekam, a potem do ciebie zadzwonię i

powiem, kto przyjechał tym gratem.

Helen popatrzyła na furgonetkę. Musiała przyznać, że rzeczywiście nie wygląda dobrze. Jeśli jej stan mógł świadczyć o kondycji firmy, do której należała, to chyba nie przedstawiała się najlepiej.

Zastanawiała się chwilę nad propozycją przyjaciółki.

- Nie - zdecydowała w końcu.

Była zbyt ciekawa kierowcy furgonetki, żeby nie myśleć o nim na spotkaniu klubu. Nie byłaby w stanie się skupić i Andy Savage mógłby ją zapędzić w kozi róg.

- Poczekamy razem - powiedziała. - Zresztą i tak nie chce mi się wracać do domu autobusem. Wolę pojechać z tobą.

- W porządku - zgodziła się Shannona. Omówiły wszystkie szkolne sprawy, ponarzekały na nauczycieli, wymieniły się najświeższymi plotkami, ustaliły, kto z kim chodzi i kto ze sobą zerwał, a właściciel furgonetki wciąż nie dawał znaku życia.

- Przepraszam, że zabieram ci tyle czasu - powiedziała Helen.

- No coś ty! Fajnie się gada. Helen popatrzyła na zegarek.

- Za dwie minuty kończy się spotkanie klubu.

- Myślisz, że to ktoś, kto jest teraz na spotkaniu? - spytała Shannona.

- Bo ja wiem? - Helen zastanawiała się przez chwilę. - Nie, nie sądzę. Raczej ktoś z administracji.

- Oni pracują tylko do czwartej, a dochodzi piąta.

- Może woźny? - zasugerowała Helen.

- Nie, wiem, że mieszka dwieście metrów od szkoły. Więc raczej chodzi do pracy pieszo.

- Pan Williams? - zgadywała dalej, przypomniała sobie jednak, że widziała go kiedyś w volkswagenie, tego samego koloru co ten, obok którego zaparkowała Shannona. - On jeździ tym fioletowym garbusem.

Większość jej kolegów i koleżanek z klubu dyskusyjnego przychodziła do szkoły pieszo, korzystała z autobusu albo podwozili ich rodzice. Tylko Alex Liman i Sharon Rose przyjeżdżali swoimi samochodami.

- To musi być ktoś z pracowników - powiedziała Helen i nagle zsunęła się na siedzeniu.

- Co robisz? - zdziwiła się Shannona.

- Sharon - szepnęła Helen. - Nie chcę, żeby mnie tu zobaczyła. Zacznie wypytywać, dlaczego nie byłam na spotkaniu, a nie chce mi się teraz tłumaczyć - wyjaśniła i zsunęła się

jeszcze bardziej, tak że przyjęła prawie leżącą pozycję.

- Nie ruszaj się - powiedziała Shannona, starając się nie otwierać ust. - Właśnie nas mija.

Helen zamarła.

- Już poszła? - spytała cicho kilka sekund później. W tym samym momencie ktoś zastukał w szybę od strony kierowcy.

- Nie wiesz, dlaczego Helen nie było...? - usłyszała dochodzący z zewnątrz stłumiony głos.

Po szybach samochodu spływały strugi deszczu, które zamazywały widok, Helen rozpoznała jednak twarz Sharon. Mimo to miała nadzieję, że z zewnątrz nie widać, kto jest w środku.

- Nie otwieraj okna - szepnęła błagalnie do swojej przyjaciółki.

- Nie wygłupiaj się. Przecież ona i tak cię już zobaczyła - wycedziła przez zęby Shannona, po czym opuściła szybę.

- A, tu jesteś! - zdziwiła się Sharon. - Zastanawiałam się, dlaczego nie pojawiłaś się dzisiaj na spotkaniu klubu.

- Nie mogłam - odparła Helen. - Miałam ważne sprawy do załatwienia - dodała tak konfidenicznym tonem, że nawet wścibska z natury Sharon nie dopytywała się o szczegóły.

- Żałuj, że nie przyszedłaś - powiedziała. - Było fantastycznie.

- Wierzę ci - bąknęła Helen, która wiedziała, za czyją sprawą było tak fantastycznie, i z żalem pomyślała, że jeszcze niedawno to ona była osobą, dzięki której debaty w klubie się ożywiały.

- Wiesz, jaki był temat? - spytała Sharon, nie zważając na to, że stoi w deszczu.

- Nie mam pojęcia. Ale umieram z ciekawości. Jaki?

- Czy ładnym dziewczynom żyje się łatwiej.

- Po prostu fantastyczny! - rzuciła Helen z sarkazmem.

Nawet nie musiała pytać, kto zaproponował coś tak kretyńskiego. Najbardziej w tym wszystkim denerwował ją fakt, że Andy Savage nawet w dyskusji na tak idiotyczny temat potrafił znajdować sensowne argumenty.

Nie musiała również pytać, po której stronie stanęła Sharon, która, ze swoją urodą, wiedziała najlepiej, komu żyje się łatwiej.

- Dlaczego tak dziwnie siedzisz? - zaciekała się Sharon.

Helen najpierw nie zrozumiała, o co jej chodzi, dopiero po chwili uświadomiła sobie,

że wciąż niemal leży na siedzeniu.

- Bo... bo tak lubię.

- Aha... - Sharon przyjrzała się jej podejrzliwie, po czym wzruszyła ramionami, powiedziała „Cześć” i odeszła.

- Może wreszcie usiądziesz normalnie? - zaproponowała Shannona. - Nawet głupi by nie uwierzył, że w takiej pozycji komukolwiek może być wygodnie.

Przyjaciółka musiała się z nią zgodzić, zwłaszcza kiedy, podnosząc się, poczuła ból w plecach.

Nie miała jednak czasu, żeby o tym myśleć, zobaczyła bowiem czerwoną furgonetkę odjeżdżającą z parkingu.

- Ruszaj! - zawołała.

- Spokojnie.

- Jedź za tą furgonetką!

Shannona przekręciła kluczyk w stacyjce, włączyła bieg i wolno ruszyła.

- Nie możesz trochę szybciej? - ponagliła ją Helen.

- Mam dopiero od dwóch dni prawo jazdy, a chciałabym je zatrzymać na trochę dłużej.

Kiedy opuściły parking, furgonetka dojeżdżała do pierwszego skrzyżowania. Miała włączony lewy migacz.

- Skręć w lewo - powiedziała Helen.

- Przecież do domu musimy jechać w prawo.

- Dogoń ją, proszę.

- Po co? Chcesz mu zrobić awanturę?

- Nie. Muszę się dowiedzieć, kto ją prowadzi.

- Ale ja widziałam, kto do niej wsiadał.

- I dopiero teraz mi o tym mówisz?

- Nie dałaś mi wcześniej dojść do głosu.

- Kto?! - zawołała Helen.

- Andy Savage.

Przeczuwała to. Czekaając na parkingu, spychała tę myśl na dno świadomości, ale szósty zmysł, o posiadanie którego nigdy się nie podejrzewała, podpowiadał jej, że ten chłopak ma coś wspólnego z Psim Szaleństwem.

Andy Savage miał coś wspólnego ze wszystkimi niepowodzeniami, jakie ostatnio ją spotykały.

Andy Savage po raz pierwszy nie zaproponował tematu do dyskusji.

Pan Williams zapisał na tablicy dwa tematy.

Pierwszą zgłosiła Helen. *Czy firmy i korporacje zagrażają tylko egzystencji drobnych przedsiębiorców, czy także zdrowemu funkcjonowaniu społeczeństwa?* Długo zastanawiała się nad tym, jak go sformułować. Chciała, by wydał się innym na tyle atrakcyjny, żeby ktokolwiek chciał na niego głosować, ale nic rewelacyjnego nie przyszło jej do głowy.

Zresztą i tak wiedziała, że zostanie wybrany temat Andy'ego. Nabrała nadziei, kiedy się zorientowała, że jej rywal nic nie zgłasza.

Przez chwilę wyglądało na to, że tylko ona miała jakiś pomysł, ale kiedy pan Williams już chciał przystąpić do głosowania, rękę podniosła Katie Wilkinson.

Po klasie przeszedł szmer.

Wszyscy spodziewali się mniej więcej, co za chwilę usłyszą.

- Wiem! - zawołał Nicolas Barnes. - Wpadłeś na pomysł, żeby skazanych za jedzenie mięsa przed posadzeniem na krzesło elektryczne najpierw trochę żywcem popalać!

Pani Williams stłumił uśmiech.

- Każdy ma prawo zgłosić swój temat - oznajmił, starając się zachować powagę. - Nawet jeśli pozostałym wydaje się... powiedzmy... kontrowersyjny. - Popatrzył na Katie. - Proszę bardzo.

- Czy faceci są głupi?

Wszyscy spojrzeli na nią ze zdumieniem.

Pan Williams najwyraźniej uznał, że się przesłyszał.

- Proszę?

- Czy faceci są głupi? - powtórzyła Katie.

- Aha - powiedział spokojnie pan Williams, wziął do ręki kredę, napisał „Czy...” i się zawahał.

- Każdy ma prawo zgłosić swój temat, nawet jeśli... - Katie zaczęła powtarzać jego słowa.

- Pamiętam, co mówiłem - przerwał jej i dopisał: „faceci są głupi”.

- Rozumiem, że chodzi ci o facetów, którzy jedzą mięso? - zażartował Alex Liman.

- Nie, chodzi mi o facetów w ogóle - odparła Katie śmiertelnie poważnym tonem.

Helen wiedziała, skąd się bierze jej wrogość do rodzaju męskiego.

Poprzedniego dnia, kiedy czekały na szkolnym parkingu, Shannona powiedziała jej, że Oliver Hannah rzucił Katie po tym, jak wpadła w histerię, kiedy kupił sobie hamburgera.

- Ci, którzy uważają, że faceci są głupi, siadają po prawej - powiedział pan Williams. - Pozostali po lewej.

Wszyscy chłopcy, którzy siedzieli przy stole po prawej, natychmiast przesiedli się do drugiego.

Dziewczęta przez chwilę się zastanawiały. Potem, jedna po drugiej, dosiadły się do kolegów.

Przy stole po prawej została tylko Katie Wilkinson i Helen.

Pan Williams przyglądał się Helen, która się wahała. Na jego ustach igrał uśmiech.

Z jednej strony, nie miała ochoty być w tej samej drużynie co Andy Savage, z drugiej, nie podobał jej się pomysł bronienia tak absurdalnej sprawy.

- Zostań ze mną - szepnęła Katie.

Helen nie była pewna, co zaważyło na jej decyzji - błagalny wyraz oczu Katie, która zdawała sobie sprawę, że sama sobie nie poradzi, czy bezczelnie wyzywający uśmiech na twarzy Andy'ego.

Pan Williams wciąż nie spuszczał z niej wzroku.

- Zostaję przy tym stole. - Głos miała tak cichy i schrypnięty, że nie mógł jej usłyszeć. Popatrzyła na niego przeproszająco i dodała nieco głośniejszym głosem: - Uważam, że faceci są głupi, i postaram się to udowodnić.

W spojrzeniu Katie zobaczyła obietnicę dozgonnej wdzięczności, a z ruchu jej ust wyczytała: „Dziękuję”.

- Nie wiem, dlaczego to robię - szepnęła Helen.

Była w swoim żywiole. Czuła się tak po raz pierwszy od czasu, gdy Andy Savage zaczął przychodzić na ich spotkania.

Kiedy podjęła decyzję, że zostaje przy Katie, kierowała się wyłącznie emocjami, dopiero potem przypomniała sobie, że w czasie wakacji przeczytała książkę zatytułowaną *Płeć mózgu*, która mogła się okazać pomocna.

Ale pod jednym warunkiem - że poza nią nie czytał jej żaden z uczestników dzisiejszej dyskusji. Albo że nie czytał jej zbyt uważnie. Autorzy książki piszą wprawdzie o tym, jaki wpływ na zachowania kobiet i mężczyzn mają różnice w budowie ich mózgow, ale w żadnym wypadku nie próbują wykazać, że jedna z płci góruje intelektualnie nad drugą.

Helen tymczasem postanowiła właśnie to udowodnić.

- Już badania dzieci wykazują, że dziewczynki szybciej niż chłopcy zaczynają mówić - powiedziała. - Nie dość, że szybciej, to lepiej. Zostało niezbitnie udowodnione, że robią mniej błędów gramatycznych, a potem, w szkole, lepiej piszą i czytają.

Nicolas Barnes, który niezbyt często się odzywał na spotkaniach klubu, nie mogąc znieść tego ataku na swoją pleć, nie wytrzymał.

- Chłopcy są za to lepsi z przedmiotów ścisłych! - zawołał.

Helen wzniosła oczy do sufitu. Chodziła z nim na matematykę. Z testów dostawał zawsze najmniej punktów w klasie. Był naprawdę ostatnią osobą, która mogła sięgnąć po taki argument.

- Czyżby? - spytała spokojnie, patrząc Nicolasowi prosto w oczy.

Lubiła go; nie chciała mu sprawiać przykrości, zrezygnowała więc z osobistych przytyków i wróciła do faktów - wprawdzie nieco ponaginanych i wyrwanych z kontekstu, ale jednak faktów.

- To nieprawda - stwierdziła. - Zostało udowodnione, że dziewczynki również szybciej uczą się liczyć.

Przemilczała to, o czym wspominali autorzy książki, na którą się powoływała - że dotyczy to tylko nauki liczenia, bo z rozwiązywaniem zadań matematycznych chłopcy radzą sobie lepiej niż one.

Obawiała się, że ktoś z drużyny przeciwników wyskoczy z tym argumentem. Nikt jednak tego nie zrobił. Poczuli się więc znacznie pewniej i dalej wymieniała wszystkie pozytywne cechy płci żeńskiej, o których przeczytała w książce, ignorując te dotyczące

mężczyzn.

Przemilczając fakt, że mężczyźni są bardziej uzdolnieni przestrzennie, mają większą podzielność uwagi i potrafią wykonywać dwie rzeczy jednocześnie, że mają umysł teoretyczny i analityczny, Helen skupiła się na zdolnościach kobiet do dostrzegania szczegółów, na ich umiejętnościach w przekazywaniu uczuć i tworzeniu więzi międzyludzkich, lepszej pamięci, dokładności, sprycie, cierpliwości, zdolności do współczucia, na tym, że dostrzegają zjawiska, na które mężczyźni są ślepi i głusi.

Żeby nie być gołosłowną, przytaczała wymienione w książce przykłady.

- Miażdżymy ich - szepnęła jej do ucha Katie Wilkinson, która dotąd nie odezwała się ani razu. - Jesteśmy rewelacyjne.

Helen uśmiechnęła się. Rzeczywiście, przeciwnikom na razie brakowało pomysłów. Co jakiś czas zerkała jednak na Andy'ego Savage'a i domyślała się, że zbiera siły na atak.

W końcu do niego przystąpił.

- Kto wynalazł żarówkę? - spytał.

- Thomas Edison - odparła spokojnie.

- Kto jest autorem teorii względności?

- Albert Einstein.

- Kto sformułował prawo ciężenia?

- Isaac Newton - odpowiedziała Helen jeszcze spokojniej. Wiedziała już, do czego zmierza Andy, i miała przygotowany kontrargument.

- Kto wynalazł telefon? - kontynuował Andy.

- Aleksander Graham - odparła, robiąc ostentacyjnie znudzoną minę.

- Radio?

- Marconi... - Nie mogła sobie przypomnieć imienia. - Wyleciało mi z głowy, jak miał na imię - przyznała się. - Co możesz, oczywiście, uznać za dowód na to, że jesteśmy od was głupsze - dodała, patrząc na niego wyzywająco.

- Nie, to nie miał być test na twoją wiedzę.

- Nie? Więc cóż to miało być?

- Potrafisz wymienić kilka kobiet, którym można przypisać równie istotne osiągnięcia w nauce? - spytał.

- Oczywiście, że tak. Maria Curie.

Helen myślała gorączkowo, próbując sobie przypomnieć jakieś nazwiska. Wiedziała, że w zeszłym roku Nagrodę Nobla w dziedzinie fizjologii i medycyny dostała jakaś kobieta, nie miała jednak pojęcia, jak się nazywa.

- Jeszcze ktoś? - spytał Andy. - Nie śpiesz się. Może, jeśli się skupisz, przypomnisz sobie jakieś nazwisko.

Protekcjonalność jego słów i tonu na chwilę wyprowadziła ją z równowagi. Helen zmusiła się jednak do spokoju, wiedząc, że emocje w niczym jej nie pomogą.

- Jeśli fakt, że kobiety w minionych stuleciach nie były odkrywcami czy wynalazcami jest, według ciebie, dowodem na to, że są głupsze od mężczyzn, to chciałabym cię wyprowadzić z błędu. Żaden myślący człowiek nie ma wątpliwości, dlaczego kobiety nie wpływały w przeszłości na rozwój nauki.

- Chętnie cię wysłucham - odezwał się Andy uprzejmie.

- Otóż wcale nie dlatego, że są głupsze, tylko dlatego, że broniono im dostępu do edukacji. Przez wieki były spychane przez mężczyzn do kuchni, do rodzenia i wychowywania dzieci. Gdzie miały dokonywać tych wielkich odkryć? W kuchni przy garnkach? Albo przy kołyskach?

- Ale może tam jest właśnie ich miejsce! - zawołał Nicolas Barnes.

Katie Wilkinson była tak oburzona, że na chwilę podniosła się z krzesła. Nawet dziewczęta z jego drużyny rzuciły mu mordercze spojrzenia.

Tylko Helen go zignorowała, popatrzyła za to na Andy'ego z taką pogardą, jakby to on był osobiście winny, że rzesze biednych kobiet żyjących w minionych czasach nie mogły się rozwijać.

- A skoro już bawimy się w teleturniej - powiedziała - to teraz ja chciałabym zadać kilka pytań.

- Proszę bardzo.

- Kto wynalazł dynamit?

- Alfred Nobel.

- Kto był głównym naukowcem w Projekcie Manhattan?

- Julius Oppenheimer.

- Możesz wymienić kilku innych naukowców, którzy brali udział w tym projekcie, mającym na celu zbudowanie bomby atomowej? - poprosiła Helen.

- Chyba Albert Einstein też miał coś z tym wspólnego.

- Owszem. Jeszcze jakieś nazwiska?

Andy popatrzył na koleżanki i kolegów ze swojej drużyny. Pokręcili głowami.

- Nie znamy żadnych innych - rzekł Andy. Helen znała. W zeszłym roku na międzyszkolnych rozgrywkach klubów dyskusyjnych jednym z omawianych tematów była odpowiedzialność naukowców za skutki, jakie pociągają za sobą ich badania, odkrycia i

wynalazki. Dużo wtedy mówiono o projekcie Manhattan.

- Nie szkodzi - rzuciła. - Richard Feynman, Niels Bohr, Otto Stern... Nie ma sensu, żebym wymieniała) dłużej, ale mogę wam zaręczyć, że nie ma wśród nich ani jednej kobiety.

- Sama przed chwilą wyjaśniłaś dlaczego - powiedział Andy. - Bo, jak twierdzisz, byłąście spychane do kuchni.

Na chwilę zbił ją tym z tropu. Nie mogła zaprzeczyć, że rozumował logicznie. Postanowiła bardziej uważać i nie sięgać po argumenty, które mógłby wykorzystać przeciw niej.

- Tak, masz rację - przyznała. - Jest to jakieś wytłumaczenie, ale istnieje jeszcze inne. Już badania wśród' dzieci wykazują, że zabawy chłopców są bardziej gwałtowne, brutalne i agresywne. Nie byłoby to takie groźne, gdyby z tego wyrastali, ale, niestety, przenoszą te skłonności na działania w późniejszym wieku.

Helen przerwała na chwilę, nie po to, by dać drugiej stronie możliwość kontrataku, ale dla podkreślenia wagi swoich słów.

- Czy ktoś słyszał o tym, by jakaś kobieta wywołała wojnę? - spytała.

Przeciwnicy w milczeniu popatrzyli na siebie. Wyrwał się tylko Oliver Hannah.

- Jasne, że tak! - zawołał. - Była taka jedna laska. Zaraz, jak ona miała na imię? No... ta z tej historii z koniem, w którym ukryli się...

Helen mogła pozwolić Oliverowi dalej się kompromitować, ale zerknęła na zegar wiszący nad tablicą i zobaczyła, że debata za pięć minut się skończy, a miała jeszcze w zanadrzu kilka argumentów, w tym jeden atutowy.

- Jeśli myślimy o tej samej lasce - powiedziała - to miała na imię Helena. Ale nie ona wywołała wojnę, tylko gość zwany Parysem, który tak zgłupiał na jej widok, że nie zważając na konsekwencje, wykradł ją mężowi, oraz drugi gość, Menelaos, mąż tej laski. Męska duma nie pozwoliła mu znieść zniewagi i ruszył na dziesięcioletnią wojnę.

Z pobłażliwym uśmiechem popatrzyła na Olivera.

Najwyraźniej teraz on potraktował ten uśmiech jak zniewagę i męska duma nie pozwoliła mu jej przełknąć.

- Kobiety mają mniejsze mózgi niż mężczyźni! - zawołał bardzo z siebie zadowolony.

Helen była mu bardzo wdzięczna, że zaczął o tym mówić. Dał jej bowiem doskonałą okazję do sięgnięcia po koronny argument, który dotyczył różnic w budowie mózgu kobiety i mężczyzny.

- Masz absolutną rację - przyznała.

Pozwoliła mu się chwilę napawać radością zwycięstwa, po czym z niemal sadystyczną

przyjemnością zadała cios.

- Mózgi u mężczyzn są rzeczywiście większe niż u kobiet. Tyle że, jak zostało to udowodnione w wielu niezależnych od siebie badaniach, o inteligencji osobnika nie decyduje wielkość, tylko stosunek szarej masy mózgowej do białej.

Uśmiech satysfakcji na dobre zniknął z twarzy Olivera dopiero, gdy Helen, wolno cedząc słowa, dokończyła:

- A naukowe badania wykazały, że stosunek szarej masy mózgowej do białej jest u kobiet mniej więcej piętnaście procent wyższy niż u mężczyzn.

Oliver otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale chyba nie wiedział co, siedział więc z rozdziawioną buzią i gdyby wyraz jego twarzy mógł cokolwiek wnieść do dzisiejszej debaty, to pewnie pograżyliby do końca drużynę siedzącą przy stole po lewej. Oliver wyglądał teraz bowiem wyjątkowo nieinteligentnie.

Helen wiedziała, że z jego strony nic jej już nie grozi - zresztą, szczerze mówiąc, nigdy się go nie obawiała - ale liczyła się z tym, że Andy Savage może trzymać w rękawie jakiś atut, z którym postanowił czekać do końca.

Jednak nawet jeśli tak było, nie miał już szansy go wykorzystać.

Pan Williams podniósł z biurka dzwoneczek, którego używał do obwieszczania końca debaty, albo - z rzadka - do przerwania jej, kiedy stawała się zbyt burzliwa.

- Koniec na dzisiaj - oznajmił, potrząsając nim.

Helen unikała jego wzroku. Czuła się trochę głupio. Był nauczycielem, opiekunem klubu, ale był również przedstawicielem płci męskiej.

- Nie ma co, chłopcy - powiedział wesoło. - Wyszło na to, że jesteśmy skończonymi głupkami.

Helen już powoli miała dosyć wdzięczności Katie Wilkinson.

- Może jeszcze zaczniesz nosić za mnie plecak? - spytała, kiedy Katie w stołówce zaproponowała, że przyniesie jej jedzenie.

- Wystarczy jedno słowo, a będę to robić. Siadaj, a ja ci przyniosę, co zechcesz.

- No, dobrze - zgodziła się Helen. - Zajmę stolik. Weź dla mnie lasagne ze szpinakiem i niegazowaną wodę.

- Już się robi - powiedziała Katie.

- Zajmij mi miejsce w kolejce do bufetu - poprosiła ją Shannona.

- Dobrze.

- Co się z nią stało? - spytała Shannona, gdy została z Helen sama. Była zaskoczona, Katie bowiem nigdy nie uchodziła za osobę uczynną.

- Jako jedyna stanęłam wczoraj w klubie po jej stronie.

Shannona uniosła brwi.

- Postulowałaś, żeby wszystkich, którzy nie są wegetarianami, wieszać na okolicznych drzewach? Mnie też? Bo właśnie mam zamiar zjeść pieczeń wołową.

- Nie, nic z tych rzeczy. Temat dyskusji brzmiał: „Czy faceci są głupi?”.

Shannona roześmiała się.

- Kto go wymyślił? - Spojrzała podejrzliwie na przyjaciółkę. - Ty?

- Dlaczego ci to przyszło do głowy? - zdziwiła się Helen. - Fakt, że ostatnio jeden z nich mnie wkurza, nie oznacza jeszcze, że uważam ich wszystkich za głupków.

- Więc kto?

- Katie.

- Nie wierzę... - Shannona zastanawiała się chwilę. - To pewnie ma jakiś związek z tym, o czym mówiliśmy w zeszłym tygodniu - dodała cicho. - Wiesz, z tym, że Oliver ją zostawił.

- Chyba tak. - Helen zerknęła w stronę Katie, przed którą stały już tylko dwie osoby. - Ale pogadamy o tym kiedy indziej. Teraz idź po jedzenie, bo będziesz musiała stać od początku w kolejce - poradziła przyjaciółce.

Została przy stole sama. Przeczynała, że na fizyce, następnej lekcji po przerwie, może zostać wyrwana do odpowiedzi, otworzyła więc zeszyt, żeby przynajmniej pobieżnie powtórzyć materiał.

- Cześć. - Andy Savage, zatrzymał się przy jej stoliku. - Mogę się do ciebie dosiąść?

Uniosła głowę.

- Proszę? - Udawała, że go nie dosłyszała.

- Zapytałem, czy mogę się dosiąść.

Helen rozejrzała się. Dookoła było pełno wolnych miejsc. Dlaczego chciał usiąść koło niej? Chyba tylko po to, by zepsuć jej apetyt. Może chciał, żeby dostała niestrawności i nie była w stanie myśleć w czasie dzisiejszego spotkania klubu dyskusyjnego.

Zobaczyła, że Katie i Shannona wzięły już jedzenie z bufetu i idą do stolika.

- Nie - odparła. - Te miejsca są zajęte.

Katie postawiła przed Helen tacę i zmierzyła go nieprzyjaznym wzrokiem.

Albo tego nie zauważył, albo zignorował. Uśmiechnął się do Helen. Tym razem w jego uśmiechu nie dostrzegła ani wyzwania, ani bezczelności. Doszła jednak do wniosku, że pewnie nie przyjrzała się wystarczająco uważnie.

- Byłaś w poniedziałek rewelacyjna. Naprawdę chylę czoła.

Ludzie lubią służyć komplementów, zwłaszcza jeśli wydają się szczere, a słowa Andy'ego tak właśnie brzmiały. Helen nie była wyjątkiem, zareagowała więc w najbardziej naturalny sposób - uśmiechnęła się. Kiedy jednak przypomniała sobie, że padł z ust chłopaka, przez którego ostatnio miała kłopoty, uśmiech natychmiast zamienił się w grymas.

Shannona najwyraźniej nie dostrzegła tej nagłej przemiany.

- Widzę, że zaczynacie się lubić - powiedziała, kiedy Andy odszedł.

- To źle widzisz - sprostowała jej przyjaciółka.

- Andy Savage to głupek - rzuciła Katie.

Helen w pierwszej chwili chciała zaprotestować. Mogła myśleć o nim źle, ale na pewno nie był głupi. Z drugiej strony, niby dlaczego miałyby go bronić?

- Wszyscy faceci to głupki - dodała Katie.

- Posłuchaj - powiedziała Helen. - Chciałabym, żebyśmy się dobrze zrozumiwały. To, że w poniedziałek stanęłam po tej samej stronie co ty, wcale nie oznacza, że uważam chłopaków za głupszych od nas.

- Nie? - W oczach Katie malowało się rozczarowanie.

- Nie.

- To dlaczego to zrobiłaś?

- Hmm... - Helen zastanawiała się, co odpowiedzieć. - Z różnych powodów, o których wolałabym nie mówić - odparła w końcu. Nie chciała sprawiać jej przykrości, przyznając się do tego, że jednym z nich była litość.

- Nieważne, dlaczego zdecydowałaś się stanąć po mojej stronie. - Katie machnęła ręką. - Ważne, że wygrałyśmy.

- Właśnie.

- I że byłyśmy dobre.

- Byłyśmy rewelacyjne - powiedziała Helen, powstrzymując śmiech.

- I jeśli chcesz, żebym za ciebie nosiła plecak, to powiedz tylko słowo.



Pani Lucas dotrzymała słowa. Dwa tygodnie po ich rozmowie zadzwoniła do Helen i powiedziała, że poleciła ją jednej z sąsiadek, właścicielce młodej bokserki.

Tego samego dnia Helen szła na spacer z trzema psami - Bonbonem, Onyksem i Capri.

Pierwszy raz dostała pod opiekę tak młode zwierzę i przekonała się, że wyprowadzanie szczeniaka wcale nie jest proste, zwłaszcza jeśli odbywa się to w towarzystwie innych psów.

Ciekawa wszystkiego Capri co chwila się zatrzymywała, a kiedy szła, długie nogi, przypominające rozgotowane spaghetti, śmiesznie jej się plątały.

Helen musiała się co jakiś czas zatrzymywać i przekładać smycz Capri z jednej ręki do drugiej. Tak ją to pochłonęło, że nie zauważyła, że zbliżają się do skrzyżowania z ulicą, przy której mieszkała pani Dalton, właścicielka Mimi.

Bonbon natychmiast to wykorzystał, wyrwał się i pobiegł w stronę domu ukochanej.

- Bonbon! - zawołała, chociaż nie liczyła na to, że jej posłucha.

Ruszyła za nim biegiem, czy raczej chciała pobiec, ale z Capri nie było to proste. Zwolniła więc, spokojna, że dogoni Bonbona pod domem pani Dalton. Zawsze się tam zatrzymywał i piszcząc żałośnie, drapał w płot, domagając się, żeby go wpuszczono do Mimi.

Helen zaniepokoiła się dopiero, gdy zobaczyła, że minął dom i popędził dalej.

- Bonbon! - zawołała przerażona i znów zaczęła biec.

Omali się nie przewróciła, kiedy Capri zaplątała jej się między nogami.

- Wracaj tu natychmiast, ty głupi kundlu! Onyks, który uwielbiał biegać, wyrwał się do przodu; Capri zostawała z tyłu.

Na szczęście ulica była cicha i spokojna, Helen nie musiała się więc obawiać samochodów. Wstrzymała oddech, kiedy Bonbon dotarł do skrzyżowania z bardziej ruchliwą ulicą.

Odetchnęła z ulgą dopiero wówczas, gdy zobaczyła, że znalazł się po drugiej stronie.

- Bonbon, zaczekaj! - zawołała rozpaczliwie, zdając sobie sprawę, że dystans między nią a uciekinierem z każdą sekundą się zwiększa. Odwróciła się i pociągnęła smycz bokserki.

- Capri, błagam cię, chodź trochę szybciej!

Na następnym skrzyżowaniu Bonbon zniknął jej z oczu - pobiegł w prawo. Dotarła do tego miejsca po trzech, może czterech minutach. Popatrzyła przed siebie, ale nie było po nim

ani śladu.

- Nie widzieliście białego psa? - spytała dwóch chłopców na deskorolkach, których spotkała kawałek dalej.

Popędzili tak szybko, że nie była pewna, czy jej nie odpowiedzieli, czy ich nie słyszała.

Przed jednym z mijanych domów jakiś mężczyzna mył samochód.

- Nie biegł tędy biały kundel? - zapytała.

- A, tak - odparł. - Kilka minut temu. Ciągnął za sobą smycz.

- To on! - ucieszyła się Helen. - Nie widział pan, dokąd pobiegł?

- Widziałem. Patrzyłem za nim, dopóki na drugim skrzyżowaniu nie skręcił w lewo.

- Dziękuję panu bardzo.

- Ładny psiak! - zawołał za nią. - I robił takie wrażenie, jakby dokładnie wiedział, dokąd zmierza!

Teraz Helen również wiedziała. Mała uliczka, którą pobiegł Bonbon, prowadziła do parku. Chodziła tam często, zwłaszcza w czasie wakacji, kiedy wyprowadzała psy na dłuższe spacery. Pewnie w psim rozumie Bonbona zrodził się pomysł, że właśnie tam spotka swoją ukochaną.

Zanim w końcu udało jej się dotrzeć do parku, nakrzyczała na Onyksa za to, że wrywa się do przodu, na Capri, za to że zostaje z tyłu, z dziesięć razy rozplątywała smycze, że dwadzieścia przekładała je z jednej ręki do drugiej i znów omal nie rąbnęła jak długa, potykając się o bokserkę.

Helen zatrzymała się w bramie parku. Potrzebowała trochę czasu na złapanie oddechu i pozbieranie myśli.

- Spokój, Onyks! - zawołała.

On jednak dalej wrywał się do przodu, do Bonbona i swoich starych znajomych - Mimi, Blondi i Cezara, którym towarzyszyły czekoladowy labrador i biało - czarny spaniel.

Ulęgę, jaką Helen poczuła przed chwilą na widok Bonbona, zastąpiła złość, kiedy zobaczyła opiekuna psów.

Poczuła się tak, jakby stanęła oko w oko z kimś, kto jej ukradł najlepsze ubranie i śmiał w nim przed nią paradować.

Idąc w stronę Andy'ego Savage'a, przygotowywała w myślach przemowę, kiedy jednak znalazła się przy nim, w głowie miała mętlik i nie wiedziała, co powiedzieć.

On odezwał się pierwszy.

- Cześć, Helen. Nie poznałem cię w pierwszej chwili.

Zdawała sobie sprawę, że musi wyglądać bardzo niewyjściowo, co nie poprawiało jej nastroju. Winą za to - tak jak ostatnio za wszystkie swoje niepowodzenia - obarczyła Andy'ego.

- Cześć - rzuciła z wrogością. Odgarnęła włosy z twarzy i przetarła dłonią spoczone czoło. - Masz mojego psa.

Andy trzymał smycz Bonbona.

- Przybiegł do mnie kilka minut temu i właśnie się zastanawiałem, co z nim zrobić.

- No to już masz problem z głową. - Helen podeszła do niego i wzięła smycz.

Bonbon zaskomlał żałośnie. Najwyraźniej bał się, że będzie chciała go rozdzielić z ukochaną.

Właśnie to zamierzała zrobić, ale kiedy spojrzała w psie oczy, jego i Mimi, doszła do wniosku, że odciąganie ich od siebie, kiedy wreszcie się spotkały po ponad dwóch tygodniach, byłoby zbyt okrutne.

- Zaraz - powiedział Andy, wyczuwając jej wrogość. - To nie moja wina, że uciekł ci pies.

- Tak myślisz? - spytała sarkastycznym tonem.

- Wiem, że mnie nie lubisz. Helen nie miała ochoty zaprzeczać.

- Ale to nie powód, żebyś mnie traktowała jak., jak złodzieja psów.

Helen roześmiała się złośliwie.

- Złodzieja, mówisz...?

- Nie mam pojęcia, skąd ten sarkastyczny ton, ale coś ci powiem.

Po raz pierwszy widziała Andy'ego Savage'a zdenerwowanego.

- Słucham cię - rzuciła, posyłając mu ociekający jadem uśmiech.

- Kiedy sobie przypomnę, co mówiłaś o psach w zeszłym tygodniu, to wcale się nie dziwię, że ten biedny kundel od ciebie uciekł. Zastanawiam się tylko, dlaczego był takim egoistą i nie namówił do ucieczki swoich kumpi, albo czemu one same nie wpadły na pomysł, żeby zwiać.

Pochylił się nad Capri i pogłodził ją po głowie. Bokserka natychmiast przewróciła się na plecy i po szczenięcemu nadstawiła do głaskania różowy brzusek.

- No tak - rzekł Andy. - Ty jesteś jeszcze za młoda na takie pomysły.

W Helen gotowała się złość. Z drugiej strony, podobał jej się sposób, w jaki Andy odnosił się do psów. Zawsze uważała, że ludzie dzielą się na tych, którzy lubią psy, i na resztę. Tej reszcie ludzkości nie ufała.

Teraz jednak zastanawiała się, czy nie przyszła pora, by zrewidować swoje poglądy. Może nie każdemu przyjacielowi psów powinna ufać. A już na pewno nie Andy'emu Savage'owi.

- A ty, stary? - Popatrzył na Onyksa, który jak każdy labrador przyjaźnie merdał ogonem. - Jesteś dużym chłopakiem. Ja na twoim miejscu już dawno bym się zastanowił, czy nie poszukać sobie lepszej pani. Zobacz, twój kolega - wskazał palcem na Bonbona - wiedział, do kogo przybiec.

- Tak jak Mimi, Blondi i Cezar? - spytała Helen. Andy popatrzył na nią, nie wiedząc, o co jej chodzi.

- One znalazły sobie nowego pana. Ścisłej mówiąc, zrobili to za nich właściciele - wyjaśniła.

Wciąż nic nie rozumiał.

- Czy ty naprawdę myślisz, że ten biedny kundel przybiegł do ciebie?

- A do kogo?

- Popatrz na nich. - Helen wyciągnęła rękę w stronę Mimi i Bonbona, tak zajętych sobą, że świat wokół w ogóle dla nich nie istniał.

- One się znają? - spytał Andy.

- Cóż za spostrzegawczość! - prychnęła Helen. Przyglądał się przez chwilę Mimi i Bonbonowi, które leżały teraz obok siebie, dotykając się pyskami.

- No tak. Coś jednak jest w tym, co powiedziałaś w poniedziałek w klubie dyskusyjnym - przyznał Andy.

Teraz ona nie miała pojęcia, o co mu chodzi.

- Kiedy mówiłaś o tym, że faceci w pewnych sprawach są głusi i ślepi.

- Sam widzisz, że nie byłam gołosłowna. - Próbowала stłumić uśmiech satysfakcji, ale jej to nie wyszło. - Przykro mi, Bonbon, ale musimy już iść - powiedziała, ciągnąc go lekko za smycz.

Pies przywarł mocniej do Mimi. Nie miała sumienia odciągać go od niej brutalnie.

- Skąd one się znają? - spytał Andy.

- Dlaczego cię to interesuje? Wzruszył ramionami.

- Wiesz, nie chciałbym podważać tego, o czym mówiłaś w poniedziałek, ale może nie do końca tak jest, że faceci pewnych rzeczy nie widzą...

Helen udawała, że nie jest szczególnie zainteresowana jego słowami, ale tak naprawdę nie mogła się doczekać tego, co dalej usłyszy.

- Może nie jestem typowym facetem, ale coś jednak zauważyłem. Mimi wydawała mi się dotąd najsmutniejszą suczką na świecie. Dopiero dzisiaj, kiedy pojawił się ten biały kundel, zobaczyłem, że potrafi być szczęśliwa.

Helen uśmiechnęła się gorzko.

- Była szczęśliwa przez ponad rok. Andy popatrzył na nią pytająco.

- Przez trzynaście miesięcy wychodziły razem na spacer i wierz mi, że i ona, i Bonbon były wtedy najszczęśliwszymi psami na świecie.

Oczy Andy'ego stawały się coraz bardziej okrągłe.

- Tak było do dnia, kiedy pani Dalton poinformowała mnie, że rezygnuje z moich usług, ponieważ pewna firma proponuje lepsze ceny za wyprowadzanie psów.

Andy otworzył usta, ale się nie odezwał.

- Wkrótce po tym pan Hudson oznajmił mi, że powierzają wyprowadzanie Blondi profesjonalnej firmie, której oferta jest szersza od mojej i obejmuje wywożenie psów za miasto.

Blondi, usłyszawszy swoje imię, podeszła do Helen i zaczęła ją lizać po dłoniach.

- Wiem, Blondi, że jesteś kochana. - Helen, pogłaskała ją za uchem. - Ale wiem również, że jak każdy golden retriever musisz się wybiegać, a ze mną nie mogłaś.

Andy wciąż milczał.

- Potem zadzwoniła właścicielka Cezara - ciągnęła Helen - i powiedziała mi mniej więcej to samo co pan Hudson.

Cezar, pięknie ostrzyżony, pewnie świeżo po wizycie w psim salonie piękności, stał dumnie trzy metry od pozostałych psów i nawet nie drgnął, kiedy padło jego imię.

- Wiesz, jego było mi najmniej żal - wyznała Helen i natychmiast tego pożałowała. Szczerłość wobec Andy'ego, nie była czymś, na co mogła sobie pozwalać.

- Rozumiem cię. Lubię właściwie wszystkie psy, ale za Cezarem też nie przepadam. Jest taki wyniosły. To, oczywiście, nie jego wina. Zwierzę, które ma taką właścicielkę jak pani Patton, nie może być sympatyczne.

Helen przypomniała sobie, że niedawno to samo przyszło jej na myśl. Ale wcale jej się to nie podobało. Nie chciała mieć z Andym Savage'em nic wspólnego. Irytowało ją nawet to, że mogą mieć podobne myśli.

- Chodź, Bonbon - powiedziała i znów szarpnęła lekko za smycz.

Pies się nie ruszył, zaskomlał tylko. Zdawała sobie sprawę, że go stąd nie odciągnie. Schyliła się więc i wzięła go na ręce.

- Przepraszam cię, Mimi - szepnęła, widząc smutne oczy suczki. - Na pewno jeszcze się kiedyś spotkacie.

Mimi nie wydawała się jednak pocieszona. Bonbon szarpał się Helen na rękach, próbując zeskoczyć na ziemię, Onyks zapałał sympatią do czekoladowej labradorki i nie miał zamiaru od niej odejść, a Blondi, w której najwyraźniej obudziły się instynkty macierzyńskie, lizała bokserkę.

- Dobrze by było, gdybyś przytrzymał swoje psy - powiedziała zniecierpliwiona Helen. - Muszę już iść.

- Jasne - rzucił Andy, cofnął się o kilka kroków i pociągnął za sobą Mimi, Blondi i labradorkę. - Może jakoś ci pomóc?

- Dzięki, poradzę sobie. Cześć.

- Cześć - odpowiedział, ale w hałasie, jaki wszczęły psy, Helen go nie usłyszała.

- Mam fantastyczny temat na poniedziałkowe spotkanie klubu - powiedziała Katie Wilkinson w czasie lanczu.

Helen nie była pewna, czy chce słyszeć jaki to pomysł. Ale to, czy chciała, czy nie, i tak nie miało znaczenia, ponieważ Katie nie mogła się powstrzymać przed pochwaleniem się, co wymyśliła.

- Czy faceci w ogóle są potrzebni?

- To ma być ten fantastyczny temat? - spytała Helen, rozkładając bezradnie ręce.

- A nie jest?

- Czy ja wiem...?

- Zobaczysz, znowu wygramy! - zawołała rozemocjonowana Katie.

- My?

- No, tak. My dwie przeciwko reszcie.

- Rozumiem, że chcesz bronić stanowiska, że faceci nie są w ogóle potrzebni.

- To chyba jasne.

- Jasne, że nie są potrzebni, czy jasne, że chcesz bronić tego stanowiska? - upewniała się Helen.

Katie zastanawiała się chwilę.

- Jasne, że nie są nam do niczego potrzebni, i jasne, że chcę bronić tego stanowiska - powiedziała. - Będziemy go bronić razem - sprostowała szybko.

Helen pokręciła głową.

- Zapomnij o tym. Jeśli zgłosisz jutro ten temat, to nastaw się, że będziesz w drużynie sama - uprzedziła ją. - Więc radzę ci, żebyś się dobrze przygotowała.

- O czym rozmawiacie? - spytała Shannona. Musiała zanieść do sekretariatu jakieś dokumenty i przyszła do stołówki dopiero teraz, w połowie przerwy.

- O tym, że faceci nie są do niczego potrzebni - poinformowała ją Katie.

- Chyba coś w tym jest - zgodziła się z nią Shannona, która w czasie weekendu posprzeczała się ze swoim chłopakiem.

Katie aż zabłysły oczy z radości, że znalazła w niej sprzymierzeńca.

- No widzisz - zwróciła się do Helen.

- Porozmawiamy za kilka dni, kiedy pogodzi się z Collinem - powiedziała Helen. - Założę się, że będzie wtedy mówić zupełnie coś innego.

- Nigdy się z nim nie pogodzę.

Helen uśmiechnęła się. Słyszała już takie zapewnienia co najmniej dziesięć razy. Jej przyjaciółka mniej więcej raz w miesiącu kłóciła się ze swoim chłopakiem i zawsze się wtedy zarzekała, że teraz to naprawdę koniec. A potem, kiedy byli już pogodzeni, twierdziła, że jest w nim jeszcze bardziej zakochana.

- I faceci chyba rzeczywiście nie są nam do niczego potrzebni - dodała Shannona.

Kiedy to mówiła, Katie patrzyła na nią tak, jakby z jej ust spływały nie słowa, tylko miód.

- To może przyjdiesz jutro na spotkanie klubu dyskusyjnego i pomożesz Katie to udowodnić - zaproponowała Helen.

- Wiesz, że jestem w tym do niczego. Ty zrobisz to lepiej.

- Otóż nie zrobię. Nie mam zamiaru bronić takiej bzdury.

- Bzdury? - Shannona znacząco zerknęła w prawo. Helen odruchowo popatrzyła w tę samą stronę.

Trzy stoliki dalej siedział Andy Savage.

- Musisz przyznać, że gdyby nie pewien facet, miałabyś ostatnio mniej kłopotów. - Shannona uśmiechnęła się przebiegle.

- Właśnie! - zawołała Katie. - Faceci to same kłopoty - dodała nieco ciszej. - I jutro to powiemy.

- Jeśli już, to ty powiesz - sprostowała Helen. - Uprzedzam cię tylko, że nie wystarczy powiedzieć, trzeba jeszcze udowodnić.

- A w tym nie ma nikogo lepszego od ciebie. - Shannona znów wtrąciła swoje trzy grosze.

Helen zauważyła, że przy stoliku, przy którym siedział Andy, zrobił się jakiś ruch. On i jego koledzy zaczęli wstawać.

- Zalażł ci za skórę, co? - spytała Shannona, widząc, w którą stronę podąża wzrok przyjaciółki.

- Nie przeczę.

- Tobie Andy, mnie Collin, a Katie Oliver... Shannona mówiła to jakby do siebie, Helen wiedziała jednak dobrze, do kogo kieruje te słowa.

- Trzech facetów bez których życie byłoby prostsze - ciągnęła Shannona tym samym tonem.

- Tylko trzech - powiedziała Helen. - A jest ich kilka miliardów.

- Trzech, o których wiemy. Wyobrażasz sobie, ile na świecie jest dziewczyn

myślących w tym momencie podobnie jak my?

- Nie zastanawiam się nad tym.

- A szkoda.

- Przestań! I tak mnie nie przekonasz - powiedziała Helen, chociaż czuła, że zaczyna się łamać.

Shannona chyba również wyczuwała jej wahanie, obawiała się jednak, że jeśli będzie naciskać zbyt mocno, to tylko zirytuje przyjaciółkę.

- Niezła dzisiaj ta pieczeń - powiedziała, udając, że poprzedni wątek rozmowy już jej nie interesuje.

Katie była do tego stopnia szczęśliwa, że Shannona stanęła po jej stronie, że oszczędziła sobie komentarza na temat spożywania mięsa.

Przez jakiś czas wszystkie trzy jadły w milczeniu.

- No dobrze - powiedziała w końcu Helen. - To w końcu temat jak każdy inny.

Katie spojrzała na nią, nie wierząc w swoje szczęście.

- Skoro mam w przyszłości występować w sądach w obronie przestępców, muszę nabierać doświadczenia w bronienu spraw, co do słuszności których nie jestem przekonana.

Shannona uśmiechnęła się, zadowolona, że dopięła swego, a Katie z radości zaklaskała w dłonie.

- Wygramy! - zawołała.

- Właśnie! Skoro to my mamy wygrać - powiedziała Helen, kładąc nacisk na „my” - dobrze by było, żebyś też przygotowała jakieś argumenty, a nie, żeby cały ciężar dyskusji spadał na mnie.

- Jasne - rzuciła Katie, gotowa przystać na wszystkie warunki.

- I żadnego sadzania facetów na krzesłach elektrycznych. Ani wieszania ich na przydrożnych drzewach - zastrzegła Helen.

- Nie? A znasz jakieś inne, bardziej humanitarne metody uśmiercania?

- Katie!

- Przecież tylko żartowałam.

- Helen, telefon do ciebie!

Helen była już w drzwiach, kiedy usłyszała wołanie mamy. Popatrzyła na zegarek. Miała niewiele czasu; za osiem minut odjeżdżał autobus, a dotarcie do przystanku zajmowało jej co najmniej pięć. Jeśli się spóźni, na następny będzie czekać kwadrans i wejdzie do szkoły równo z dzwonkiem.

Wracając do kuchni, zastanawiała się, kto to może dzwonić. Na pewno żadna z koleżanek, wiedziały bowiem, że o tej porze jest już w drodze do szkoły.

- Pani Dalton - szepnęła matka, podając jej słuchawkę.

- Dzień dobry - powiedziała zaskoczona Helen. Pani Dalton była bardzo gadatliwą osobą. Helen przez kilku minut stała ze słuchawką przy uchu, zanim się dowiedziała, o co chodzi. Starsza pani opowiedziała, że zmarła jej sąsiadka, pochwaliła się, że wkrótce odwiedzi ją córka z wnukami, skarżyła się na zdrowie, narzekała na lekarzy.

Helen zerknęła na zegarek. Wiedziała, że na pierwszy autobus i tak już nie zdąży, ale obawiała się, że jeśli nie przerwie potoku słów pani Dalton, to spóźni się również na drugi.

- A co u Mimi? - spytała, bezceremonialnie wchodząc jej w słowo.

- Właśnie w jej sprawie do ciebie dzwonię. Helen przypomniała sobie smutne oczy suczki, kiedy widziała ją w parku. Poza tym, wydawało jej się, że Mimi zmarniała - schudła, a jej ruda sierść nie błyszczała tak jak kiedyś.

- Coś z nią jest nie w porządku? - spytała zaniepokojona.

- Nie, w porządku... Chociaż ostatnio jest trochę markotna - przyznała starsza pani. - Ale nic jej nie dolega.

Nic poza złamanym sercem, pomyślała Helen.

- Dzwonię do ciebie... - zaczęła pani Dalton. - Trochę niezręcznie mi o tym mówić - powiedziała po chwili i znów przerwała.

Helen niecierpliwie przestępowała z nogi na nogę.

- Przepraszam, ale za niecałe dziesięć minut mam autobus. Jeśli nie zdążę, to spóźnię się na pierwszą lekcję.

- To ja przepraszam. Krótko mówiąc, rzecz w tym, że bardzo bym chciała, żebyś znów wyprowadzała Mimi na spacer.

Kiedy Helen zaczęła z nią rozmawiać, przemknęło jej przez myśl, że może chodzić właśnie o to, a jednak teraz była zaskoczona.

- A co z firmą Psie Szaleństwo? Nie jest pani zadowolona z ich usług?
- Wyznam ci prawdę. Podwyższyli ceny.
- Tak to jest z tymi firmami - powiedziała Helen. - Najpierw kuszą ludzi niskimi cenami, a potem je podnoszą.
- Ale żeby aż tak?! - oburzyła się pani Dalton. - Kto może sobie pozwolić, żeby płacić dwadzieścia dolarów za godzinę za wyprowadzanie psa?
- Zażądali aż tyle? - nie mogła uwierzyć Helen, choć znała ludzi, których było na to stać, panią Patton, na przykład. - To rzeczywiście skandal.
- Właśnie.
- Chętnie będę wyprowadzać Mimi - powiedziała, chcąc szybko skończyć rozmowę.
- Naprawdę?
- Oczywiście.
- Tak się cieszę.
- Od kiedy mam zacząć?
- Najlepiej od dzisiaj.
- Będę tak jak zawsze, o piątej - obiecała Helen, szybko się pożegnała i odłożyła słuchawkę.

- Mamo, proszę cię - powiedziała Helen błagalnym tonem.

- Dlaczego sama tego nie zrobisz?

- Bo jeśli to on podniesie telefon, może mnie poznać po głosie.

- Wiesz, że nie lubię kłamać - broniła się matka.

- O co chodzi? - spytał ojciec, który przyszedł do kuchni na kolację. - Dlaczego miałabyś kłamać?

- Helen prosi mnie, żebym zadzwoniła do tej firmy, która podbiera jej psy, i dowiedziała się o ich ceny.

- Gdzie tu kłamstwo? - zdziwił się ojciec.

- Ona chce, żebym powiedziała, że mamy psa, a przecież to nieprawda.

- Ach, ty z tą twoją nieskazitelną uczciwością. - Uśmiechnął się do żony, po czym zwrócił się do córki: - Nie rozumiem tylko, dlaczego mama ma się dowiadywać o ceny, skoro wiesz, ile biorą. Za godzinę o dolara mniej niż ty.

- Wiem, ale nic z tego nie rozumiem - powiedziała Katie i zdała mu relację z rozmowy z panią Dalton.

- Dwadzieścia dolarów! - oburzył się. - Przecież to rozbój w biały dzień! Daj mi numer telefonu. Ja do nich zadzwonię.

- Tato, nie chcę, żebyś robił awanturę.

- Nie mam zamiaru się awanturować, powiem im tylko, co o nich myślę.

- Właśnie - powiedziała Helen i uśmiechnęła się do matki. Obie wiedziały, jak to się zwykle kończyło, kiedy ojciec chciał powiedzieć komuś, co o nim myśli.

- Żeby tak wykorzystywać starszych ludzi! - gorączkował się. - Pani Dalton na to nie” poszła, ale wiesz, ile biednych staruszek się nabiera na takie rzeczy?

- Wyobrażam sobie.

- Daj mi ten numer telefonu.

- Tato, uspokój się i wysłuchaj mnie - poprosiła Helen.

- A czy ja nie jestem spokojny?

Helen i matka wymieniły porozumiewawcze spojrzenia.

- Znowu coś knujecie przeciwko mnie. Widziałem, jak dajecie sobie znaki.

- My? - powiedziały jednocześnie.

Helen uśmiechnęła się do mamy. Ta puściła do niej oko.

- O! Teraz też widziałem.

- Tato, to się nazywa mania prześladowcza. Ale wróćmy do rzeczy. Nie sądzę, żeby ta firma brała naprawdę dwadzieścia dolarów za wyprowadzanie psów.

- Myślisz, że pani Dalton cię okłamała?

- Nie, chyba nie. - Helen zastanawiała się chwilę, po czym dodała: - Na pewno nie.

Opowiedziała ojcu o tym, jak wczoraj uciekł jej Bonbon i jak znalazła go w parku w towarzystwie Mimi, Blondi, Cezara, dwóch innych psów i chłopaka, który po wakacjach zaczął chodzić do jej szkoły.

- Pracuje w tej firmie Psie Wariactwo czy jakoś tak? - spytał ojciec.

- Psie Szaleństwo.

- Powinna się nazywać Psia Mać.

- Ktoś tu jest podobno spokojny. - Helen ostentacyjnie odwróciła głowę, żeby nie patrzeć w stronę, matki. - Nie dawałyśmy sobie z mamą żadnych znaków - powiedziała szybko, żeby zapobiec kolejnym oskarżeniom o spiskowanie.

Ci faceci, pomyślała, dziwiąc się, że Shannona musiała ją dzisiaj w czasie lanczu tak długo przekonywać, żeby stanęła po stronie Katie.

- Więc ten twój kolega... - zaczął ojciec.

- Nie mówiłam, że to mój kolega - przerwała mu Helen. - Ledwie go znam.

- Powiedziałaś, że chodzi do twojej szkoły.

- No... tak, ale to jeszcze nie oznacza, że jest moim kolegą.

- Wszystko jedno, nie będziemy się spierać o słowa - rzekł ojciec, machając ręką. - Więc ten chłopak pracuje w tej Psiej Ma... w tym Psim Szaleństwie.

- Na to wygląda.

- No to dlaczego nie zapytasz jego, tylko każesz matce wydzwaniać do tej Psiej... do tego Psiego Szaleństwa?

- Bo... bo... bo go nie lubię - przyznała się Helen. Czuła przy tym, że się czerwieni.

- Nie lubisz go, powiadasz... - rzekł tata, przyglądając jej się podejrzliwie.

- Czemu tak na mnie patrzysz?

- Ja? - Postukał się w palec w pierś. - Ja patrzę? Zaraz... Jak to się nazywa...? A, już wiem! Mania prześladowcza, prawda?

- Tato, przestań! Ja mam problem, a ty sobie stroisz żarty.

- Przepraszam. Już nie będę - obiecał poważnie. - Powiedziałaś temu chłopakowi, że firma, w której pracuje, psuje ci interes?

- Nie wprost, ale dałam mu to wczoraj do zrozumienia.

- Dałaś mu to wczoraj do zrozumienia - powtórzył i się zamyślił. - A dzisiaj rano pani Dalton powiedziała ci, że jego firma podwyższyła ceny o pięćset procent.

- Właśnie. Myślisz pewnie o tym samym co ja.

- To oczywiste - rzekł ojciec. - Zrobiło mu się głupio i dzisiaj, albo nawet jeszcze wczoraj, zadzwonił do pani Dalton i poinformował ją, że jego firma podwyższyła ceny do dwudziestu dolarów. Nie do pięciu, sześciu czy nawet dziesięciu, tylko do dwudziestu, bo takiej sumy nikt nie zaakceptuje, a już zwłaszcza starszuszka emerytka.

- Pomyślałam dokładnie to samo - powiedziała Helen.

- Więc po co mama miała dzwonić do tej firmy?

- Wolałam nie mieć wątpliwości.

- Wątpliwości? Przecież to jest jasne jak słońce.

- Tak myślisz?

- Jestem absolutnie pewny. A co do tego twojego kolegi...

Tym razem Helen nie zaprotestowała, kiedy nazwał Andy'ego kolegą.

- Iak? - spytała, patrząc na ojca.

- Gdybym ja był jego pracodawcą, wywalilibym go na zbity pysk, ale poza tym to bardzo porządny chłopak.

- Cześć, Helen! - zawołała Katie, kiedy w poniedziałek przed lekcjami wpadły na siebie w szatni.

Zanim Helen zdążyła otworzyć usta, koleżanka zniknęła jej z oczu, a szkoda, bo chciała z nią jak najszybciej porozmawiać i uprzedzić, że się rozmyśliła i dzisiaj na spotkaniu klubu nie stanie po jej stronie.

Zastanawiała się nad tym przez cały weekend. Wczoraj wieczorem podjęła decyzję i nie zamierzała jej zmieniać, nawet gdyby Katie miała być z tego powodu bardzo rozczarowana. Trudno, skoro się tak upierała, że faceci nie są do niczego potrzebni, niech broni tego stanowiska sama.

- Katie będzie na mnie wściekła - powiedziała do Shannony, kiedy wychodziły z szatni.

- Dlaczego?

- Wycofuję się. Jeśli zgłosi ten swój idiotyczny temat, niech sobie radzi sama.

Shannona wzruszyła ramionami.

- Wiesz... Może i masz rację.

- W piątek przekonywałeś mnie, że faceci to same kłopoty - przypomniała jej Helen.

- Mam prawo zmienić zdanie. Przecież ty też zmieniłaś.

Helen bardzo uważnie przyjrzała się przyjaciółce. Shannona wyglądała na szczęśliwą; uśmiechała się, oczy jej błyszczały. W zeszłym tygodniu sprawiała wrażenie przygaszonej - jak zawsze, kiedy była pokłócona ze swoim chłopakiem.

- Przyznaj się, pogodziłaś się z Collinem - powiedziała Helen.

- Skąd wiesz?

- Po pierwsze, wiedziałam, że się pogodzicie, po drugie, widzę to po tobie, a po trzecie, nagle zmieniłaś zdanie co do tego, czy faceci są potrzebni, czy nie.

- Ary?

- Co ja?

- Z jakiego powodu ty je zmieniłaś?

- Nawet najbardziej wojujące feministki nie atakują facetów aż tak agresywnie, więc nie mam zamiaru bronić jakichś idiotycznych, skrajnych poglądów.

Ona i Shannona raczej nie miały przed sobą tajemnic. Dziś jednak nie podzieliła się z nią radosną nowiną o odzyskaniu Mimi i nie powiedziała, że stało się to prawdopodobnie za

sprawą Andy'ego Savage'a. Nie chciała, by przyjaciółka wiązała z tym zmianę jej decyzji. Helen nawet sama przed sobą nie przyznawała się do tego, że te sprawy mają ze sobą związek.

Katie zobaczyła dopiero w czasie przerwy na luncz.

Stały razem w kolejce do bufetu.

- Muszę z tobą pogadać - zaczęła Helen, przygotowując się na to, że będzie musiała dawać jej odpór.

- Coś ważnego?

- Dla ciebie pewnie tak.

- Znowu krostki z soczewicy! - prychnęła Katie. - Nie ma nic innego wegetariańskiego? - zapytała jedną z kucharek.

Tamta pokręciła głową.

- Są wstrętne - powiedziała Katie, i postawiła na swojej tacy talerz z krostkami.

- Zgadzasz się z tobą. - Helen skrzywiła się z niesmakiem, ale była głodna, nie miała więc wyboru. - Tam - powiedziała, odchodząc od bufetu, i wskazała stół, przy którym siedziała już Shannon.

Katie zrobiła dziwną minę.

- Zjem dzisiaj z kimś innym, dobrze? Nie obrażaj się na mnie?

- Jasne, że nie - odparła Helen.

Nie była obrażona, ale zdziwiona. Od czasu gdy Katie rozstała się z Oliverem, zawsze jadły luncz we trzy.

- Tylko że musimy porozmawiać.

- No to mów, o co chodzi - rzuciła Katie. Wzrok miała rozbiegany i sprawiała wrażenie, jakby się dokądś śpieszyła.

Helen zastanawiała się, czy to rozsądne, przekazywać jej złą nowinę teraz. Czy nie lepiej poczekać, aż usiądzie, a przynajmniej odłoży tacę?

Zaryzykowała jednak.

- Nie licz na mnie dzisiaj - oznajmiła.

Katie, wbrew jej obawom, nie upuściła tacy na podłogę.

- Nie stanę w klubie dyskusyjnym po twojej stronie - dodała Helen, która nie dostrzegłszy żadnej reakcji, pomyślała, że koleżanka jej nie zrozumiała.

- W porządku - powiedziała Katie.

- W porządku? Tak po prostu? Tylko tyle?

- No.

- Bałam się, że będziesz rozczarowana, że zaczniesz mnie przekonywać.
- Nie - odparła Katie, kręcąc głową. - Wiesz, ja i tak nie zgłosiłabym tego tematu.
- I dopiero teraz mi o tym mówisz?

Helen nie ukrywała złości. Od wczoraj, od chwili kiedy podjęła decyzję, zastanawiała się, jak delikatnie przekazać ją Katie, a ta teraz, jak gdyby nigdy nic, informowała ją, że i tak nie zgłosiłaby tego tematu.

- Jesteś zawiedziona? - spytała Katie.

- Ja?! To ty powinnaś być zawiedziona.

- Nie przesadzasz trochę? To tylko dyskusja w klubie. W życiu są ważniejsze sprawy, nie uważasz?

Po chwili Helen wiedziała już, jakie są te ważniejsze sprawy.

- Na razie. Nie gniewaj się na mnie - powiedziała Katie, po czym odeszła i przysiadła się do Olivera i jego dwóch kolegów.

No tak, wszystko jasne, pomyślała Helen, pogodzili się.

Chwilę później, kiedy przechodziła obok ich stolika, zrozumiała, ile Olivera ta zgoda musiała kosztować. Podczas gdy jego koledzy pałaszowali soczyste steki, on jadł kromki z soczewicy i miał przy tym taką minę, jakby mu bardzo smakowały.

Tego dnia na spotkaniu klubu Helen nie zachowywała się tak jak zwykle, nie zgłosiła swojego tematu, nie zabierała głosu. Drużynę wybrała przypadkowo, a właściwie w ogóle jej nie wybierała. Gdy weszła do klasy, usiadła przy stole po prawej i potem, kiedy inni zmieniali miejsca, nie wstała.

Tak więc była z tymi, którzy uważali, że za daleko posunięta demokracja może być niebezpieczna. Gdyby usiadła przy stole po lewej, pewnie znalazłaby się w drużynie broniącej demokracji nawet w jej najbardziej skrajnych przejawach.

Podobnie chyba było z Andym. On również został przy stole, przy którym zajął miejsce na początku.

On i Helen siedzieli w przeciwnych drużynach, ale właściwie nie byli przeciwnikami, ponieważ żadne z nich nie odezwało się ani razu.

Sharon Rose i Alex Liman, którzy dzisiaj mogli się wykazać, byli w siódmym niebie.

Dopiero pod koniec spotkania, kiedy szala zwycięstwa zaczęła się przechylać na stronę obrońców demokracji, Sharon spojrzała na Helen i szepnęła z wyrzutem:

- Czemu mi nie pomożesz?

Helen, nawet gdyby chciała to zrobić, nie byłaby w stanie. Nie śledziła dyskusji wystarczająco uważnie, by wiedzieć, jakie padły argumenty.

Wzruszyła więc tylko ramionami, uznając, że lepiej milczeć, niż powtórzyć coś, co zostało już dawno powiedziane.

Alex Liman, będący w przeciwnej drużynie, zadał im na koniec decydujący cios, wygłaszając mowę, w której zawarł kilka bardzo trafnych spostrzeżeń.

- Zostawiłaś mnie na lodzie - powiedziała z wyrzutem Sharon, kiedy wychodziły z klasy.

- Przepraszam, miałam dzisiaj kiepski dzień. Sharon przyglądała jej się podejrzliwie.

- Ludzie mają chyba prawo mieć lepsze i gorsze dni? - zapytała Helen.

- No, niby tak...

Gdy doszły do windy, Helen przypomniała sobie, że zostawiła w klasie wypożyczoną w bibliotece książkę.

Wróciła po nią, a kiedy znów znalazła się przy windzie, Sharon już tam nie było. Był za to Andy.

Żadne z nich się nie odezwało, kiedy zjeżdżali na dół. Milczeli również w drodze do

szatni. Helen specjalnie długo się ubierała i chowała do szafki książki i podręczniki. Potem odczekała chwilę i dopiero gdy stwierdziła, że na pewno sobie poszedł, postanowiła wyjść.

I niemal wpadli na siebie w drzwiach.

- Przepraszam - bąknął z nietypową u niego nieśmiałością i cofnął się, żeby ją przepuścić.

Helen wyszła z szatni, ale zaraz za progiem się zatrzymała.

- Muszę ci coś przekazać.

Andy popatrzył na nią zaskoczony.

- Mimi i Bonbon prosili mnie, żebym ci podziękowała.

- Mnie? Za co?

- Za to, że znów mogą się spotykać.

- Ale to przecież nie moja zasługa.

Helen przemknęło przez myśl, że może jednak ona i ojciec nie mieli racji, uważając, że Andy, na własną rękę, bez porozumienia ze swoim pracodawcą, powiedział Pani Dalton, że firma podnosi ceny.

Ale wyraz jego twarzy przekonał ją, że ona i tata się nie mylili.

- Żadna firma nie podnosi z dnia na dzień ceny o pięćset procent - powiedziała.

- Niektóre tak robią. Helen pokręciła głową.

- Nie wierzę w to - oświadczyła, a po chwili dodała: - I myślę, że twój pracodawca też by w to nie uwierzył.

Andy uniósł brwi.

- Kto?

- Twój pracodawca. On nie wie, że podwyższyłeś dla pani Dalton cenę z czterech dolarów na dwadzieścia, prawda?

- Ja nie mam żadnego pracodawcy.

- Co?! - Teraz ona uniosła brwi, jeszcze wyżej niż on. - Nie masz pracodawcy?! Więc do kogo należy firma Psie Szaleństwo?

- Firma... Trochę szumnie powiedziane... - Spuścił wzrok.

Helen długo mu się przyglądała.

- Nie ma żadnej firmy - powiedziała w końcu i roześmiała się. - Psie Szaleństwo to ty. Ty i nikt więcej. Nie ma żadnego pracodawcy, żadnej korporacji, sieci...

- Korporacji?

- Nie wiem dlaczego, ale ubzdurałam sobie, że Psie Szaleństwo to jakaś duża firma... nie wiem, może nawet cała sieć, która mnie zniszczy.

- A! Już rozumiem!

- Co?

- Jakiś czas temu zgłosiłaś w klubie temat. Nie pamiętam dokładnie, jak brzmiał, ale chodziło o to, że duże firmy i korporacje zagrażają nie tylko małym przedsiębiorstwom, ale także zdrowemu funkcjonowaniu społeczeństwa.

- Dobrze go zapamiętałaś.

- Bo wydał mi się ważny - powiedział Andy. - W Filadelfii też sobie dorabiałem, wyprowadzając psy.

- Przeprowadziłeś się tu z Filadelfii? - spytała, zdając sobie sprawę, że właściwie nic o nim nie wie.

Skinął głową.

- I całkiem dobrze mi szło - ciągnął. - Dopóki nie pojawiła się firma, która zaproponowała właścicielom lepsze ceny i szerszy wachlarz usług.

- Niech zgadnę! - zawołała Helen. - Ta firma nazywała się Psie Szaleństwo, brała po cztery dolary za godzinę i oprócz spacerów oferowała profesjonalną opiekę i inne usługi, na przykład, wywożenie psów za miasto, żeby się mogły wybiegać.

- Zgadłaś. Więc kiedy przeprowadziliśmy się tutaj, postanowiłem nie dać się już nigdy zaskoczyć jakiejś firmie. Za zaoszczędzone pieniądze kupiłem starą furgonetkę i wydrukowałem wizytówki.

- Byłeś lepszy niż ja - przyznała Helen. - Bo ja, po pierwsze, nie mam jeszcze prawa jazdy, a po drugie, nie byłam na tyle przewidująca i wydawałam wszystkie zarobione pieniądze. Ale ludzie uczą się na błędach - dodała. - Kiedy zostały mi tylko dwa psy, zaczęłam oszczędzać.

- Wtedy w parku miałaś chyba trzy - zauważył Andy. - Razem z tym białym kundlem, który ci uciekł.

- Tę młodą bokserkę wyprowadzam dopiero od paru dni - wyjaśniła Helen. - Właścicielka Onyksa, czarnego labradora, którego widziałeś, słysząc o moich problemach, poleciła mnie swoim znajomym. A tak nawiasem mówiąc, to właśnie od niej się dowiedziałam, jak nazywa się firma, która psuje mi interes. - Helen uśmiechnęła się z satysfakcją. - Zostawiłaś jej mężowi swoją wizytówkę, ale nie skusiły ich lepsze ceny, profesjonalna opieka i szersza oferta.

- Cieszę się.

- Cieszysz się? - spytała z powątpiewaniem, jednak coś w wyrazie twarzy Andy'ego pozwoliło jej uwierzyć, że mówił to szczerze.

- Od kiedy wiesz, że Psie Szaleństwo to ja? - spytał.

- Że Psie Szaleństwo to firma, w której pracujesz - sprostowała. - Bo o tym, że Psie Szaleństwo to ty, wiem dopiero od kilku minut.

- No tak. Więc od kiedy o tym wiesz?

- Jakieś dziesięć dni temu zobaczyłam twoją furgonetkę na szkolnym parkingu.

Uświadomiła sobie, że wciąż stoją przy drzwiach szatni. Zerknęła na zegarek. Uciekł jej już jeden autobus, za chwilę odjedzie drugi. Wolnym krokiem ruszyła w stronę wyjścia.

- Potem się dowiedziałam, że to ty nią przyjeżdżasz - powiedziała.

Nie chciała się przyznawać, że, aby to odkryć, zachowywała się jak szpieg z filmów trzeciej kategorii i po raz pierwszy w życiu nie poszła na spotkanie klubu dyskusyjnego.



- To był twój autobus? - spytał Andy.

Doszli do przystanku dokładnie w chwili, kiedy zamykały się drzwi.

Helen skinęła głową.

- Przepraszam, to przeze mnie się spóźniłaś.

- Nie szkodzi. Za kwadrans mam następny.

- Podwiózłbym cię - powiedział - ale nawaliła mi furgonetka. Dopiero w przyszłym tygodniu odbieram ją z warsztatu. Zaoszczędziłem za mało, żeby kupić coś lepszego niż tego grata.

- Nie narzekaj. Ja byłabym szczęśliwa, gdybym miała nawet taki stary samochód. - Helen zamyśliła się. - Już teraz rozumiem...

- Co takiego?

- Dlaczego w zeszłym tygodniu byłeś z psami w parku.

- Bo nie miałem czym ich wywieźć za miasto.

- Właśnie.

- Ale wiesz co? Może dobrze się złożyło, że popsuł mi się samochód. Chyba potwierdza się moja teoria, że wszystko w naszym życiu dzieje się z jakiegoś powodu.

Helen spojrzała na niego pytająco.

- Gdybym nie musiał oddać furgonetki do warsztatu, nie przyszedłbym wtedy w parku, ten biały kundel...

- Bonbon - podpowiedziała mu Helen.

- Bonbon by ci nie uciekł, nie spotkalibyśmy się tam i nie miałbym pojęcia, że odbieram ci klientów.

Spojrzał jej w oczy.

- Naprawdę tego nie wiedziałem. Wierzysz mi?

- Wierzę - odparła bez wahania.

Czoło Andy'ego znowu się zmarszczyło. Ludzie nie prezentują się najlepiej ze zmarszczonym czołem; zwykle nadaje to ich twarzy zbyt poważny wyraz. Ale albo ta reguła nie dotyczyła Andy'ego, albo był tak przystojny, że wyglądał dobrze nawet z takim wyrazem twarzy.

- Powiedziałaś, że dopiero jakieś dziesięć dni temu dowiedziałaś się, że mam coś wspólnego z Psim Szaleństwem...

- Tak było.

- To dziwne.

- Co w tym dziwnego? - spytała Helen.

- Bo wydawało mi się, że miałaś coś przeciw mnie już wcześniej - wyjaśnił Andy.

Nie wiedziała, jak na to zareagować.

- Miałem wrażenie, że od początku mnie nie lubiłaś - ciągnął. - Od naszego pierwszego spotkania w klubie.

Helen była zakłopotana. Nie miała pojęcia, co powiedzieć. Nie mogła wyznać prawdy: że z chwilą pojawienia się Andy'ego jej pozycja gwiazdy klubu dyskusyjnego stanęła pod znakiem zapytania i że nie potrafiła się z tym pogodzić.

- Czy to nie był twój autobus? - spytał. Helen zobaczyła tył odjeżdżającego autobusu.

Co ja robię? - pomyślała, zła na siebie. Jeszcze do niedawna nie mogła ścierpieć tego chłopaka, a teraz tak ją pochłonęła rozmowa z nim, że nie wiedziała, co się dzieje dookoła.

- Jestem nieprzytomna - powiedziała. •

Nie chcąc, by wrócił do przerwanej tematyki, zaczęła mówić o czymś innym.

- Mam nadzieję, że o podwyżce cen powiedziałaś tylko pani Dalton.

Fakt, że do tej pory nie zadzwonili do niej właściciele Cezara i Blondi z prośbą, by znowu wyprowadzała ich psy, jeszcze o niczym nie świadczył.

Andy zrobił niepewną minę.

- Liczyłaś na to, prawda?

- Nie, skąd! - zaprzeczyła Helen gwałtownie. - Teraz, kiedy dostałam pod opiekę Capri, tę młodą bokserkę, mam problemy z czterema psami. W ogóle sobie nie wyobrażam, jak mogłabym wyprowadzić na smyczy pięć. Przynajmniej dopóty, dopóki Capri trochę nie wydorosłeje i nie zmadrzeje.

- Tak, ze szczeniakami zawsze są kłopoty - zgodził się z nią Andy. - Ale do czegoś muszę ci się przyznać.

- Tak?

- Rozmawiałem z panią Patton.

- Podwyższyłaś jej ceny?

Andy skinął głową.

- Przyznaj się, nie przepadasz za Cezarem i chciałeś się go pozbyć - powiedziała Helen, ale takim tonem, że jej słowa nie brzmiały jak zarzut, lecz jak żart.

- To prawda, nie jest moim ulubionym psem, choć z drugiej strony, nie mam z nim żadnych problemów.

- Owszem, są bardziej kłopotliwe zwierzaki niż on.

- No właśnie. Zabrałem ci go, więc chciałem, żeby do ciebie wrócił.

- Dziwne tylko, że nie pomyślałeś tego samego o Blondi. - Helen znów bardziej się z nim przekomarzała, niż czyniła zarzuty.

- A właśnie, że pomyślałem. Tylko że nie zastałem pana Lucasa, a jego żona powiedziała, że Blondi to pupilka męża i ona nie podejmie żadnej decyzji w jej sprawie, dopóki pan Lucas nie wróci z podróży służbowej. - Andy popatrzył na Helen. - Zastanów się. On wraca pod koniec tygodnia, więc jeśli tylko chcesz...

- Nie, nie rób tego. Naprawdę nie poradzę sobie z pięcioma psami - zapewniła go. - Ale co z panią Patton? Jej też podwyższyłeś stawkę do dwudziestu dolarów?

Skinął głową.

- I co? - zaciekawiła się Helen.

Andy'emu zadrgały usta, tak jakby powstrzymywał śmiech.

- Zgodziła się bez słowa.

- Ty to masz szczęście.

Zdziwiła się, że nie jest na niego zła ani nie czuje zazdrości, i zaczęła się zastanawiać, czy ten fakt nie powinien jej trochę niepokoić.

Przez chwilę stali w milczeniu.

- Wiesz co? - odezwał się Andy.

- Tak?

- Pomyślałem, że może...

- O, mój autobus! - zawołała Helen. - Nie mogę przegapić następnego!

Ale kiedy wsiadała tylnym wejściem, pomyślała, że pewnie mogłaby przegapić ten, i kolejny, i jeszcze kilka następnych.

- Katie dzisiaj znowu nas zdradza? - spytała Shannona w czasie lanczu.

- Popatrz, jaka sielanka. - Helen wskazała kąć stołówki, w którym siedziała Katie z Oliverem. Pochylali się nad stołem i gruchali jak dwa gołąbki. - Chociaż nie wiem, jak długo może potrwać.

- Nie bądź taką pesymistką. Wyglądają na zakochanych.

- Nie jestem pesymistką, tylko realistką - sprostowała Helen.

Popatrzyła na swój talerz, na którym miała niezbyt estetycznie wyglądającą porcję makaronu z serowym sosem, i na talerz przyjaciółki. Pierś z kurczaka w zrumienionej panierce wyglądała apetycznie nawet dla niej, choć nie jadała mięsa.

Na korytarzu na parterze, przy wejściu do sekretariatu, wisiała skrzynka. Uczniowie mogli do niej wrzucać kartki, na których opisywali swoje żale wobec szkoły. W zeszłym roku co najmniej raz w tygodniu spisywała własne spostrzeżenia i uwagi. Wszystkie dotyczyły stołówki. Wyjaśniała, że wegetarianie nie są przestępcami, których za niejedzenie mięsa należy karać takimi paskudztwami, jakie im serwowano. Kilka razy dołączyła nawet przepisy na smaczne i wcale niekosztowne dania wegetariańskie. Ale albo kartek ze skrzynki nikt nie czytał, albo rzeczywiście ktoś, kto decydował o menu, uważał, że wegetarianie są dopustem bożym i należy ich surowo karać.

- Widziałaś, co wczoraj jadłam na lancz? - spytała przyjaciółkę.

- Chyba te obrzydliwe krokiety - odparła Shannona, krzywiąc się.

- Pamiętasz, jak kiedyś dałam ci je spróbować?

- O Jezu! Nie przypominaj mi tego!

- A widzisz! - rzuciła Helen.

- Nikt cię nie zmusza do niejedzenia mięsa.

- Tu nie chodzi o mnie.

- A o kogo?

- O Olivera.

- A co Oliver ma z tym wspólnego? - zdziwiła się Shannona. - Przecież on wcina hamburgery, i to nie sojowe.

- A jak myślisz, co wcinał wczoraj? Shannona zastanawiała się przez chwilę.

- Stek - przypomniała sobie. - Wczoraj były pyszne steki.

Helen pokręciła głową.

- Otóż nie. Jadł kroiety z soczewicy.

- Niemożliwe!

- Widziałam na własne oczy.

- Jadł te obrzydliwe kroiety?!

- Tak. A dzisiaj je ohydny rozgotowany makaron z sosem zwanym serowym. - Helen nabrała na widelec niewielką porcję i włożyła do ust. - Serowy! Nie mam pojęcia skąd ta nazwa.

- Niemożliwe - powtórzyła Shannona. - Na pewno wziął sobie kurczaka. Jest przepyszny.

Helen znów pokręciła głową.

- Skąd wiesz? Przecież nie widziałaś.

- Ale mogę się założyć. Shannona zerwała się z krzesła.

Helen z uśmiechem patrzyła, jak jej przyjaciółka idzie do stolika w kącie, rozmawia przez chwilę z Katie, po czym wraca z zawiedzioną miną.

- On naprawdę je to świństwo - powiedziała głosem pełnym niedowierzania.

- Myślisz, że Oliver długo tak wytrzyma? - spytała Helen.

- Nie sądzę.

- Więc kim jestem? Pesymistką czy realistką?

- W tym wypadku realistką - przyznała Shannona. - Ale tylko w tym.

- W każdym razie, dopóki Oliver będzie jadł kroiety z soczewicy, makaron z serowym sosem albo podobne paciaje, jesteśmy zdane na własne towarzystwo.

Shannona skończyła swoją porcję i w milczeniu patrzyła na Helen, która nie wyglądała na szczęśliwą.

- Aż takie niedobre? - spytała.

- Nie, bez przesady. Chyba przyzwyczaiałam się już do tego jedzenia. Ale wiesz, o czymś pomyślałam...

Shannona dostrzegła poważny wyraz twarzy przyjaciółki, spojrzała więc na nią tak, żeby Helen nie miała wątpliwości, że jest gotowa wysłuchać jej uważnie.

Helen rozejrzała się po stołówce.

- Popatrz, Katie siedzi z Oliverem, Priscilla z Nicolasem, Amanda z Patrickiem... - Przy jednym ze stolików zobaczyła Andy'ego z Sharon. Nie miała pojęcia dlaczego, ale nie spodobało jej się to. Powędrowała więc wzrokiem dalej. - Susan z Treatem - ciągnęła. - Scarlett z Tomem, Alex z Patricią...

- I co w tym dziwnego? Chodzą ze sobą, więc jedzą razem lancz.

- Ale ty nie siedzisz z Collinem.

- No nie. I co z tego?

- To przeze mnie, prawda?

- Daj spokój - rzuciła Shannona.

- Powiedz prawdę.

- Nie wiem, do czego zmierzasz.

- Dobrze wiesz. Gdyby nie ja, siedziałabyś teraz z Collinem.

- Być może - przyznała Shannona.

- Właśnie.

- Boże, Helen, o co ci chodzi? Siedzę z tobą, bo to lubię. Fajnie mi z tobą. Z Collinem spotykam się po szkole, w weekendy...

- Ale sama powiedziałaś...

- Przyznaj się lepiej, że chodzi o to, że inne dziewczyny mają chłopaków, a ty...

Shannona spojrzała na przyjaciółkę i zrozumiała, że palnęła coś, czego nie powinna nigdy powiedzieć.

- Przepraszam, plotę jakieś bzdury.

- Nie, nie pleciesz. - Helen zebrała się w sobie i wykonała nadludzki wysiłek, żeby się uśmiechnąć. - Najgorsze jest to, że chyba masz rację, że właśnie o to chodzi.

- Nie mieć chłopaka to nie jest jeszcze tragedia. Popatrz... - Teraz Shannona powędrowała wzrokiem po stołach. - Diana siedzi z April i Natalie, Candice z Marshą, Mary Jo z Konstancie... Z tego co wiem, żadna z nich nie ma chłopaka i jakoś żyją. Zobacz, śmieją się, wyglądają na zadowolone.

- Wiem.

- Helen, ty też kogoś spotkasz - dodała Shannona, widząc, że humor przyjaciółki nic a nic się nie poprawił.

- Ja?!

- A niby dlaczego nie miałabyś spotkać?

- Przestań mnie pocieszać, bo chyba jeszcze bardziej mnie tym dołujesz - poprosiła Helen.

- W zeszłym roku miałas kilka randek.

- Trzy - uściśliła Helen.

- Trzy to już coś.

Helen uśmiechnęła się gorzko.

- Jakoś żaden z tych trzech chłopaków, z którymi się spotkałam, nie miał ochoty na

następne randki.

- Na pewno ich onieśmiałas.

- Popatrz na mnie - poprosiła Helen. - Piegowata okularnica. Czy taka dziewczyna jak ja może kogoś onieśmielić?

- Odczep się wreszcie od swoich piegów. Są śliczne. A w okularach chodzą miliony dziewczyn. Poza tym, jeśli ci tak przeszkadzają, spróbuj nosić szkła kontaktowe.

Shannona przechyliła się nad stołem i zdjęła okulary z nosa przyjaciółki. Odsunęła się i przyjrzała jej uważnie.

- Ja na twoim miejscu nie zawracałabym sobie głowy szklami. Według mnie, w okularach wyglądasz świetnie. Bardziej interesująco, inteligentnie...

- Przestań się na mnie tak gapić - rzuciła Helen. - I może zmienimy temat, dobrze?

Ale Shannona wciąż jej się przyglądała.

- Onieśmiasz ich - powiedziała w końcu. - Więcej, oni się ciebie boją.

- Wyglądam jak wiedźma? Zdawałam sobie sprawę, że nie jestem Miss Świata, ale nie przypuszczałam, że jest aż tak źle.

- Tu nie chodzi o twój wygląd.

- A o co?

- Jesteś za inteligentna, za mądra, za bystra. Jaki chłopak miałby ochotę spotykać się z dziewczyną, przy której czułby się jak głupek?

- Przesadzasz z tą inteligencją i mądrością.

- Nie, to jest to.

- Bzdura - rzuciła Helen. - Pamiętasz, z kim pierwszy raz umówiłam się na randkę?

- Z Treatem Berengerem.

- Nie, on był drugi. Pierwszą w życiu randkę miałam z Aleksem Limanem. I nie zaprzeczysz chyba, że Alex to geniusz.

- Bystry chłopak, to prawda - przyznała Shannona. - Ale żeby zaraz geniusz?

Helen po tej pierwszej randce miała nadzieję, że Alex zaproponuje kolejne spotkanie, ale on kilka tygodni później zaczął się umawiać z Priscillą Sanders. Przez jakiś czas czuła się trochę zawiedziona, ale nie do tego stopnia, by zmienić zdanie o Aleksie. Wciąż uważała go za sympatycznego, mądrego chłopaka, z którym miło się rozmawia.

Chociaż nie aż tak miło, żeby przegapiać autobusy...

Przypomniała sobie wczorajszą rozmowę z Andym i mimowolnie zerknęła w stronę stolika, przy którym siedział z Sharon.

Właśnie wstawali.

Poczuła szybsze bicie serca, kiedy sobie uświadomiła, że żeby opuścić stołówkę, będą musieli minąć jej stolik.

Sharon przeszła, nie zwracając uwagi ani na nią, ani na Shannone.

Andy zauważył Helen.

- Cześć - rzucił, uśmiechając się, i poszedł dalej. Zrobił jednak dwa, może trzy kroki, zatrzymał się i zawrócił:

- Nie skończyliśmy naszej wczorajszej rozmowy.

Była zbyt pochłonięta tym, co się dzieje z jej sercem, które - mogła się o to założyć - waliło tak, że jego rytm słyhać było w całej stołówce, żeby mieć jeszcze energię na zastanawianie się nad tym, co odpowiedzieć.

- Uciekłby mi następny autobus - wydusiła z siebie w końcu.

Spróbowała przywołać na twarz uprzejmy, neutralny uśmiech, ale nic z tego nie wyszło. Uśmiechnęła się jak skończona idiotka i, co gorsza, kiedy zdała sobie z tego sprawę, zaczerwieniła się po cebulki włosów.

- Chciałem zapytać, czy dzisiaj wyprowadzasz psy.

- Robię to codziennie.

- Pomyślałem, że może przyszłabyś z nimi do parku.

Helen, widząc, że oczy Shannony robią się okrągłe niczym spodki, przeraziła się, że ona wygląda podobnie.

- Ten czarny labrador, z którym wtedy byłaś, chyba zaprzyjaźnił się z Brownie - powiedział Andy.

- Z Brownie...? Ach tak... to... to pewnie ta czekoladowa labradorka - domyśliła się po dłuższej chwili.

- Będę w parku ze swoimi psami mniej więcej od piątej do szóstej, więc... więc jeśli... jeśli nie miałabyś pomysłu...

Ucieszył ją fakt, że nie tylko ona zaczęła się jąkać.

- Zobaczę... Zależy, jaka będzie pogoda. Jeżeli... jeżeli nie będzie padać... to może...

- Byłoby fajnie. Moglibyśmy dokończyć tamtą rozmowę.

- Zobaczę, jak będzie...

- No to na razie.

- Na razie.

- No i co tak na mnie patrzysz? - spytała Helen. Shannona zasłoniła ręką usta, ale po oczach było widać, że się śmieje.

- Co cię tak bawi? - rozłościła się Helen.

- Wyobrażam sobie, jakie miny zrobiliby ludzie z klubu dyskusyjnego, jeśli by was widzieli.

- Nie rozumiem, co oni mają z tym wspólnego.

- Uważają ciebie i Andy'ego za mistrzów ciętej riposty. Pewnie opadłyby im szczęki, gdyby usłyszeli, jak dzisiaj nie mogliście wydukać słowa.

- Przestań się ze mnie śmiać. I bez tego czuję się jak kretyńka.

- Nie śmieję się z ciebie, tylko z was - sprostowała Shannona. - Jedno jest pewne. Dzisiaj z pewnością nie onieśmieliłaś Andy'ego Savage'a intelektem.

- Nie ma co, potrafisz człowieka pocieszyć!

- Dobrze, nie powiem już ani słowa - obiecała Shannona.

Nie mogła jednak dotrzymać obietnicy, ponieważ dziesięć sekund później Helen rzuciła zniecierpliwionym tonem:

- No, powiedz coś!

- Co mam powiedzieć? Chyba tylko to, że przed kilkoma minutami umówiłaś się na czwartą w życiu randkę. I coś mi mówi, że tym razem na jednej się nie skończy.

- To nie jest żadna randka! - zaprotestowała Helen tak gwałtownie, że Diana, April i Natalie, siedzące przy sąsiednim stoliku, natychmiast się odwróciły. - To po pierwsze - dodała ciszej. - A po drugie, nie wiem, czy pójde dzisiaj do parku.

- Ale ja wiem. Właśnie! - Shannona spojrzała podejrzliwie na przyjaciółkę. - Nie pisnęłaś nawet słowem o tym, że już się tam z nim spotkałaś, że nie dokończyliście jakiejś rozmowy...

- Bo nie było o czym wspominać. Poza tym nie miałam okazji ci o tym powiedzieć.

- No dobrze, nie wnikajmy już w to - powiedziała Shannona ugodowym tonem. - Lepiej się zastanówmy, w czym pójdziesz na randkę.

- Na żadną randkę! A jeśli chcesz koniecznie wiedzieć, w czym pójde, to ci powiem. W płaszczu przeciwdeszczowym i kaloszach. Spójrz tylko, co się dzieje za oknem.

Na dworze rzeczywiście rozpuściła się wichura.

- Nie ubrałaś się za lekko? - spytała matka, kiedy Helen kwadrans przed piątą wychodziła z domu.

- Nie, jest ciepło.

- Bo pokazało się słońce, ale za chwilę się schowa.

- Mamo, nie jestem małym dzieckiem, nie mów mi, co mam na siebie wkładać.

- Nie robiłabym tego, gdybyś była rozsądna - powiedziała matka. - Jest jesień, a ty wychodzisz w letniej kurteczce. Boję się, że się przeziębisz.

Dziesięć minut później Helen przekonała się, że mama miała rację.

Kiedy, zmagając się z szarpiącą się na smyczy Capri, zbliżała się do domu państwa Lucasów, żeby odebrać Onyksa, słońce schowało się za nadciągającymi ze wchodu ciemnymi chmurami.

Pierwsze krople deszczu spadły, gdy czekała, aż pani Danton otworzy drzwi. Helen zwykle najpierw szła po Bonbona, ale skoro miała iść do parku, to było jej bardziej po drodze jako pierwszą odebrać Mimi.

Mimi, jak puszysta ruda torpeda, wybiegła z domu, zrobiła rundkę wokół Helen, Capri i Onyksa, a kiedy się upewniła, że nie ma ukochanego, z jej oczu znikła cała radość.

- Nie martw się, Mimi, zaraz pójdziemy po Bonbona - uspokoiła ją Helen. - A potem wybierzemy się do parku.

- Będzie padać - stwierdziła starsza pani. Helen nie wyprowadziła jej z błędu i nie powiedziała, że już pada.

- Najwyżej trochę pokropi - rzuciła, lekceważąco machając ręką. - Zresztą Mimi lubi deszcz.

Mimi nie miałyby może nic przeciwko drobnemu kapuśniaczkowi, ale wichurą i ulewą, jakie rozpętały się kilka minut później, nie była zachwycona. Nawet Onyks, dla którego - jak dla każdego labradora - woda była wspaniałym żywiołem, nie wyglądał na szczęśliwego, zwłaszcza kiedy zaczęły się rozlegać grzmoty, a niebo przecinać błyskawice.

Przeżazona Capri zapierała się i za nic nie chciała iść dalej. Kiedy w końcu Helen udało się dotrzeć do domu pani Irving, była przemoczona do suchej nitki.

- Wejdz - zaprosiła gospodyni.

- Jak? Z psami?

- Przecież nie zostawisz ich na dworze w taką burzę.

Helen nie miała innego wyjścia, zresztą i tak decyzję podjęły za nią psy. Wbiegły do środka, pociągając ją za sobą.

- Wszystko zamoczą i wybrudzą! - krzyknęła przerażona, patrząc, jak Onyks otrząsa się z wody, a Capri ociera o ścianę.

Tylko Mimi nie przejęła się tym, że jest mokra. Kiedy znalazła się w towarzystwie Bonbona, nie przeszkadzało jej już absolutnie nic.

Pani Irving przyniosła kilka ręczników i obie zabrały się za wycieranie psów, którym bardzo się to nie podobało.

- Teraz musimy zrobić coś z tobą - powiedziała, patrząc na przemoczoną dziewczynę.
- Nie możesz zostać w tych ubraniach.

- Nie trzeba - rzuciła Helen.

- Mowy nie ma. Dzwoniła twoja mama. Pytała, czy już byłeś po Bonbona. Martwi się o ciebie.

- Nic mi nie będzie. Mama jak zwykle przesadza.

- Matki zawsze przesadzają.

Ze wszystkich koleżanek mamy Helen najbardziej lubiła właśnie ją. Nie miała dzieci, nie przejawiała więc irytującej nadopiekuńczości. Dopiero kiedy Helen kichnęła raz, drugi i trzeci, a potem rozkichała się na dobre, pani Irving zmieniła nieco zdanie.

- Musisz się przebrać - powiedziała. - Twoja mama by mnie zamordowała, gdybym ci pozwoliła zostać w tych ciuchach.

- Czy one mogą tam siedzieć? - spytała Helen, widząc że wszystkie cztery psy weszły na kanapę.

Pani Irving machnęła ręką i zniknęła w pokoju przylegającym do salonu. Po chwili wyszła z niego ze szlafrokiem przewieszonym przez ramię i parą grubych wełnianych skarpetek.

- Przebierz się w to, a ja włożę twoje ubrania do suszarki i za godzinę będą suche.

- Za go... - Helen znów zaczęła kichać.

Kiedy zużyła ostatnią chusteczkę, pani Irving podsunęła jej całe pudełko kleeneksów.

- Biegnij szybko do łazienki i włóż suche ubrania - powiedziała, tym razem tonem nieznośnym sprzeciwu.

Ale też Helen nie zamierzała protestować.

Za godzinę Andy'ego nie będzie już w parku, myślała, przebierając się. Dopiero po jakimś czasie uświadomiła sobie, że tylko ktoś upośledzony umyślowo mógłby podczas takiej burzy czekać na nią w parku.

A Andy Savage z pewnością nie był upośledzony. Był bystry, inteligentny...
Przypomniała sobie to, co kiedyś mówiła o nim jej przyjaciółka - że jest przystojny.
Tak, Shannona miała rację. Andy chyba rzeczywiście był przystojny.
Chyba?! Był najprzystojniejszym chłopakiem, jakiego znała.

I ten jego uśmiech...

Jak mogła kiedyś uważać, że Andy uśmiecha się bezczelnie?!

- Jezus Maria!

Nie miała pojęcia, że krzyknęła, i to tak głośno, że pani Irving zaniepokoiła się i weszła do łazienki.

- Coś się stało? Helen pokręciła głową.

- Na pewno wszystko w porządku? - Pani Irving przyglądała jej się uważnie -
Wydawało mi się, że krzyknęłaś.

- Kichnęłam - skłamała Helen i na poparcie tego zaczęła kichać.

Cóż miała powiedzieć? Że właśnie po raz pierwszy w życiu uświadomiła sobie, że jest zakochana?

- Przed chwilą jeszcze raz zadzwoniła twoja mama - oznajmiła pani Irving. -
Obiecałam jej, że nie pozwolę ci wyjść, dopóki nie przestanie padać. A potem zawiozę cię do domu.

- Ale przecież psy...

- Pomyślałam o nich. Porozwozimy je moim samochodem. Twoja mama uparła się,
żeby po ciebie przyjechać, ale wytłumaczyłam jej, że to bez sensu. Przy jej alergii na sierść
trzy psy w wozie to czyste szaleństwo.

- Dzię... A psik! Dzięki.

- Nie ma za co. - Pani Irving uśmiechnęła się. - A teraz chodź. Zaparzę ci najlepszej na
świecie herbaty na przeziębienie.

Najlepsza na świecie herbata na przeziębienie okazała się niewystarczająco skuteczna. Helen na tydzień wylądowała w łóżku.

Nie należała do osób, dla których szkoła jest dopustem bożym, mimo to kiedyś, jeśli z powodu choroby musiała zostać w domu, potrafiła - przynajmniej przez pierwsze kilka dni - rozkoszować się słodkim nieróbstwem.

Kiedyś jednak nie była zakochana i pozostanie w domu nie wiązało się z brakiem jakiegokolwiek kontaktu z chłopakiem, którego kochała.

Po trzech dniach zaczęła więc przekonywać mamę, że czuje się już świetnie. Matka jednak, widząc, że Helen wciąż ma stany podgorączkowe, katar i kaszel, upierała się przy tym, co zalecił lekarz, i kategorycznie oświadczyła, że nie pozwoli jej wyjść z domu, zanim zupełnie nie wyzdrowieje.

Shannona dzwoniła codziennie. Zdawała relację z tego, co dzieje się w szkole, ale wiadomości, które przekazywała, nie zaspokajały ciekawości Helen.

- Coś się działo na historii sztuki? - spytała. Były to jedyne zajęcia, na które chodziły razem z Andym, miała więc nadzieję, że przynajmniej padnie jego imię.

- Nic specjalnego. Przerabialiśmy francuskich impresjonistów.

- Tylko tyle? - Helen starała się, żeby w jej głosie nie było słycać rozczarowania.

- A co byś jeszcze chciała wiedzieć?

- Myślałam, że może zdarzyło się coś ciekawego.

- Na lekcji z panią Chandler?

Pani Chandler była rzeczywiście mistrzynią w doprowadzaniu uczniów do ziewania. Nic więc dziwnego, że podczas gdy w innych szkołach historię sztuki wybierało wielu uczniów, u nich na ten przedmiot zdecydowało się tylko kilku zapaleńców.

- A co w klubie dyskusyjnym? - spytała zdesperowana Helen.

- Nie mam pojęcia. Przecież do niego nie należę.

- No tak, ale przyszło mi do głowy... Myślałam, że może...

- Helen, przyznaj się, co tak naprawdę chcesz wiedzieć - powiedziała Shannona, która najwyraźniej zaczęła coś podejrzewać.

- Nic takiego.

- Znam cię, o coś ci chodzi.

- O nic. Po prostu nudzi mi się w domu i chciałabym wiedzieć, co słycać w szkole -

tłumaczyła się Helen, ale jej głos nie brzmiał zbyt przekonująco.

- W szkole czy u Andy'ego Savage'a? - zapytała Shannona. - Jeśli pytasz o niego, to nie wiem, co u Andy'ego słycać, bo nie było go na historii sztuki.

- Nie było go?!

Ale ze mnie skończona idiotka, pomyślała Helen, po czym desperacko próbowała jeszcze uratować sytuację.

- Wcale nie pytałam o Andy'ego. Shannona jednak i tak wiedziała swoje.

- Postaram się czegoś o nim dowiedzieć. Ale teraz muszę kończyć. Pa, zadzwonię jutro.

- Zaczekaj chwilę! - zawołała Helen, ale przyjaciółka już odłożyła słuchawkę.

Następnego dnia Shannona zadzwoniła zaraz po szkole.

- Mam coś dla ciebie! - rzuciła podekscytowanym głosem.

- Mów! - ponagliła ją Helen.

- Nie popędzaj mnie. Właściwie nie wiem, czy cię to w ogóle zainteresuje. Wczoraj mówiłaś, że nie pytałaś o Andy'ego, prawda?

- Czy to, co chcesz mi powiedzieć, ma z nim jakiś związek? - nie wytrzymała Helen.

- Przecież ci obiecałam, że postaram się czegoś dowiedzieć.

Helen zdawała sobie sprawę, że im bardziej będzie naciskać, tym później dowie się, o co chodzi. Zasznurowała więc usta i nie pisnęła ani słowa.

W słuchawce przez chwilę panowała cisza.

- A na mnie można polegać - odezwała Shannona po chwili, która jej przyjaciółce wydała się wiecznością. - Popytałam tu i tam i czegoś się dowiedziałam.

- Mam nadzieję... - zaczęła Helen, ale Shannona jej przerwała.

- Nie martw się, byłam tak dyskretna, że nikt nie będzie miał najmniejszych podejrzeń, że zaciągałam języka dla ciebie.

- Wcale cię nie prosiłam o to, żebyś wypytywała o Andy'ego.

- No... skoro nie prosiłaś, to pewnie nie chcesz wiedzieć...

W słuchawce znów zaległa cisza.

- Nie znęcaj się już dłużej nade mną - powiedziała w końcu Helen.

- Otóż Andy'ego Savage'a od pięciu dni nie ma w szkole.

- To wszystko? - spytała Helen, nie kryjąc rozczarowania. O tym, że ktoś nie przychodzi do szkoły, można się dowiedzieć w prosty sposób; w tym celu nie trzeba „zaciągać języka”.

- Mało?

- Przyznam, że liczyłam na więcej.

- No to może jeszcze coś dorzucę. - Shannona specjalnie zrobiła przerwę, żeby podroczyć się z przyjaciółką. - Andy jest chory. Zadowolona?

- Dlaczego miałabym być zadowolona? Nie jestem taka podła, żeby się cieszyć, że ktoś jest chory.

Shannona odczekała chwilę, zanim zaserwowała jej kolejną informację.

- Wiem, na co jest chory.

- Na co?

- Przeziębienie.

- Na szczęście na to się nie umiera.

- A nie dziwi cię to, że oboje jesteście przeziębieni? I że nie przyszedł do szkoły tego samego dnia co ty? - spytała Shannona.

- Takie rzeczy się zdarzają. Pamiętasz, jak w zeszłym roku w grudniu pochorowały się dwie trzecie uczniów?

- To była epidemia grypy. A teraz nie słyszałam, żeby poza tobą i Andym ktoś był chory.

- Więc jaki z tego wyciągasz wniosek? - zapytała Helen.

- Nie wyciągam żadnych wniosków, podaję ci tylko suche informacje. Wnioski wyciągnij sobie sama.

- Wiesz, prawdopodobnie przeziębienie osłabiło nie tylko moje ciało, ale i umysł, bo jakoś żadne sensowne wnioski nie przychodzą mi do głowy.

- Bo nie wiesz jeszcze wszystkiego. - Shannona postanowiła już dłużej nie igrać z cierpliwością przyjaciółki. - Tego mianowicie, że Andy przeziębził się, czekając godzinę w deszczu na jakąś dziewczynę, która nie przyszła na spotkanie.

- Niemożliwe! - zawołała Helen. - Wymyśliłaś to.

- Słowo honoru, że nie.

- Kto ci to powiedział?

- Collin. A on dowiedział się od Franka Jacksona. Wiedziałaś, że Andy przyjaźni się z Frankiem?

- Widziałam ich kilka razy razem na przerwach - odparła Helen. - Ale nie sądziłam, że się przyjaźnią.

- Podobno Andy nie powiedział Frankowi, na kogo czekał - ciągnęła Shannona - ale akurat ta informacja nie jest nam już potrzebna. Obie wiemy na kogo.

- To jakaś bzdura - rzuciła Helen. - Kto o zdrowych zmysłach czeka godzinę w parku

podczas takiej burzy?

- Nikt - zgodziła się z nią przyjaciółka.

- Właśnie.

- Nikt normalny - uściśliła Shannona, po czym dodała: - Ale zakochani nie zachowują się normalnie.



Pierwszy temat na poniedziałkowym spotkaniu klubu zgłosił Oliver Hannah.

Czy świat bez dorosłych nie byłby piękniejszy?

Wszystkim bardzo się spodobał, Helen przypuszczała więc, że ona ze swoim nie będzie miała dziś żadnych szans.

Uśmiechnęła się, gdy pan Williams zapisywał na tablicy temat Andy'ego.

Czy to prawda, że kto się lubi, ten się czubi?

Kiedy Andy go zgłosił, nie widziała zachwyty na twarzach członków klubu. Nawet Sharon, która dotąd patrzyła na Andy'ego jak na guru, skrzywiła się lekceważąco.

Najwyraźniej nikt nie był zachwycony tym tematem - nikt poza Helen. Jej spodobał się na tyle, że przez chwilę zastanawiała się nawet, czy nie zrezygnować z zaproponowania swojego. Z drugiej strony, bardzo chciała go zgłosić. I ta chęć zwyciężyła.

- Czy zakochani zachowują się nienormalnie, powiedziała trochę nieśmiało.

Po klasie przeszedł szmer wyrażający zaskoczenie, być może nawet dezaprobatę. Nie dziwiło jej to; nigdy dotąd nie proponowała takich tematów.

Nie przejęła się tym jednak ani trochę. Uśmiech, który posłał jej siedzący naprzeciwko Andy, wszystko jej wynagrodził.

Kiedy pan Williams przeczytał pierwszy temat, podnieśli rękę wszyscy poza Helen i Andym.

- Właściwie nie ma sensu przedłużać głosowania - rzekł pan Williams. - Sprawa jest jasna.

Helen nagle zaczęło bardzo zależeć na tym, by głosować również nad pozostałymi dwoma tematami.

- Formalnie głosowanie jest nieważne, jeśli... - zaczęła, ale pan Williams jej przerwał.

- Wiem, o co ci chodzi, ale może szkoda czasu na formalności.

Popatrzyła na niego z taką determinacją, że pokręcił głową i powiedział:

- No dobrze. Kto jest za drugim tematem? Zanim skończył, podniosła rękę.

- Helen, coś ci się chyba pomyliło - zwrócił jej uwagę. - To temat Andy'ego. Ty zgłosiłaś trzeci.

- Wiem, ale głosuję za drugim.

Czuła na sobie spojrzenia wszystkich uczestników spotkania. Nie mogli nie zauważyć, że dotąd stawała zawsze przeciw Andy'emu, i pewnie się zastanawiali, skąd ta nagła

przemiana.

Jeszcze bardziej zaskoczył ich fakt, że Andy nie zagłosował na swój temat.

Pan Williams znów pokręcił głową. Czuł, że na dzisiejszym spotkaniu dzieje się coś, o czym nie miał pojęcia.

- Czy zakochani zachowują się nienormalnie? - przeczytał trzeci temat.

Andy uśmiechnął się do Helen i podniósł rękę.

W czasie debaty Helen i Andy ani razu się nie odezwali. Siedzieli naprzeciwko siebie, w walczących ze sobą drużynach, ale po raz pierwszy nie byli przeciwnikami.

Co jakiś czas uśmiechali się do siebie i niecierpliwie czekali, aż skończy się spotkanie.

- Co się z tobą dzieje? - zapytała oburzona Sharon, kiedy debata się zakończyła. - Ani razu nie zabrałaś głosu.

Helen była w zbyt dobrym nastroju, żeby ktokolwiek mógł go jej zepsuć.

Uśmiechnęła się do Sharon i powiedziała:

- Wiesz, ja jednak nie uważam, żeby świat bez dorosłych był piękniejszy. Mnie się podoba taki, jaki jest.

- Ale przecież właśnie to miała udowodnić nasza drużyna.

- Tak? - zdziwiła się Helen.

Sharon przez chwilę przyglądała się jej podejrzliwie.

- Zachowujesz się... - Przerwała, jakby nie mogła znaleźć odpowiedniego słowa.

- Nienormalnie? - odpowiedziała jej Helen.

- Właśnie!

- No, cóż... zdarza się.

Andy czekał na Helen przed klasą.

- Wygląda na to, że sami będziemy musieli przedyskutować te dwa tematy, które padły przy głosowaniu - powiedział Andy.

- Chętnie. Ale co będzie, jeśli się okaże, że mamy takie samo zdanie?

- Wtedy nici z dyskusji.

- Właśnie. - Twarz Helen spoważniała. - Słuchaj, Andy, co do tamtego dnia...

Chciałam przyjść z psami do parku...

- Dobrze, że nie przysłaś. Wylądowałabyś, tak jak ja, na tydzień w łóżku.

Uśmiechnęła się.

- Wylądowałam.

- Nie wiedziałem, że byłaś chora.

- Dzisiaj pierwszy raz jestem w szkole.

- Nie miałem pojęcia.

Bo nie masz przyjaciółki, która „zaciągnęłaby języka”, pomyślała Helen. A może po prostu nie jesteś mną na tyle zainteresowany, żeby o mnie wypytywać.

Ruszyli w kierunku windy. Kiedy zobaczyli, że stoi przy niej kilka osób, oboje w tej samej chwili zwolnili kroku.

- Wtedy, w stołówce, wspomniałeś o naszej niedokończonej rozmowie - przypomniała mu Helen.

- Właśnie! Tyle tylko, że to, co ci wtedy chciałem powiedzieć, przestało być aktualne.

Helen poczuła się zawiedziona, że z powodu głupiej burzy nie dowie się, o co mu chodziło.

- Rozumiem - rzuciła, starając się nie okazać rozczarowania.

Andy uśmiechnął się i pokręcił głową.

- Chyba jednak nie rozumiesz. To dotyczyło Cezara - powiedział, naciskając guzik windy.

- Cezara?!

- Mówiłem ci, że pani Patton zgodziła się bez słowa płacić mi dwadzieścia dolarów za godzinę, czyli o szesnaście więcej, niż biorę normalnie.

- No tak.

- Uznałem, że to nie fair wobec ciebie, i pomyślałem, że powinienem dzielić się z tobą

tymi szesnastoma dolarami.

Otworzył drzwi windy.

- Żartujesz! Nie pójdę na to - oświadczyła kategorycznie, wchodząc do środka.

- Teraz i tak nie miałbym czym się z tobą dzielić. Helen popatrzyła na niego pytająco.

- Nie wyprowadzam już Cezara.

- Jak to?

Żadne z nich nie zwróciło uwagi na to, że winda zjechała na dół i otworzyły się drzwi.

- Kiedy zachorowałem, zadzwoniłem do właścicieli i powiedziałem, że do końca tygodnia nie będę się mógł zajmować ich psami. Wszyscy, poza panią Patton, zrozumieli.

- Można się było tego po niej spodziewać. Wstrętna baba!

Drzwi windy zaczęły się zamykać. Andy szybko nacisnął na przycisk, żeby je otworzyć.

- Ale z nas gapy - powiedziała Helen i uśmiechnęła się, przypominając sobie temat, który zgłosiła dzisiaj w klubie.

- To ja jestem nieprzytomny. - Andy po rycersku wziął winę na siebie. - Ostatnio zachowuję się...

- Nienormalnie? - podpowiedziała mu niepewnie.

- Właśnie... Doszli do szatni.

- Tam jest moja szafka - rzuciła Helen, wskazując ręką w prawo.

Nie chciała się jeszcze z nim rozstawać. Niemal odetchnęła z ulgą, kiedy powiedział:

- Poczekam tu na ciebie.

- Dobrze.

Nigdy dotąd tak się nie śpieszyła z wkładaniem książek do szafki i z przebieraniem się, ale Andy i tak był szybszy i czekał na nią przed drzwiami szatni.

- Mój samochód jest już na chodzie - powiedział, kiedy wyszli ze szkoły. - Może podrzucić cię do domu?

- Nie trzeba. - Helen z trudem zapanowała nad głosem.

Pierwszy raz chłopak zaproponował, że zawiezie ją do domu. Nie przypuszczała, że zrobi to na niej takie wrażenie. Opanowała się jakoś, tłumacząc sobie, że nie ma w tym nic wielkiego - zwykła koleżeńska przysługa.

Spojrzała na zegarek.

- Za dziesięć minut mam autobus.

- Po co masz czekać? Naprawdę chętnie cię podrzucę.

Nie opieraj się dłużej, idiotko, bo przestaniesz nalegać i potem będziesz tego żałować,

pomyślała.

- Okej - powiedziała. - Ale, oczywiście, pod warunkiem, że to nie będzie dla ciebie kłopot.

- Żaden.

W furgonetce część przeznaczona do przewożenia zwierząt była oddzielona tylko kratą i wszędzie pachniało psami.

- Znajomy zapach - zauważyła Helen, siadając na fotelu obok kierowcy.

- Przeszkadza ci?

- Skądże! Uwielbiam go.

Kiedy wyjechali z parkingu i objaśniła drogę, opowiedziała, jak od dziecka marzyła o psie, którego nie mogła mieć z powodu alergii mamy.

- A ja sądziłem, że ich nie znosisz - powiedział Andy. - Mam teraz skrócić w prawo? - spytał, dojeżdżając do skrzyżowania.

- Nie, na następnych światłach.

- Wiesz, myślę cały czas o tym, że jednak trochę zepsułem ci interes, i chyba mam pomysł na to, jak ci to, przynajmniej częściowo, wynagrodzić.

- Nie musisz mi niczego wynagradzać.

- A co byś powiedziała na to, gdybyśmy razem wywozili psy za miasto?

Skakałabym ze szczęścia. To było pierwsze, co przyszło jej do głowy. Ale odpowiedziała ostrożniej:

- Onyks byłby zachwycony, gdyby mógł się wybiegać. Capri pewnie też. Takie młode psy potrzebują czegoś więcej niż spaceru na smyczy. - Helen zamilkła na chwilę. - Ale, jak już mówiłam, naprawdę nie musisz mi niczego wynagradzać.

Zobaczyła, że dojeżdżają do jej ulicy.

- Skręć w lewo! - zawołała w ostatniej chwili. - I zatrzymaj się przy tym żółtym domu.

Tam mieszkam.

Andy zaparkował w miejscu, które mu wskazała.

- Dzięki za podwiezienie.

- Nie ma za co. To przecież tylko kawałek.

- Było mi miło.

- Mnie też.

Położyła rękę na klamce.

- No to co z tym wspólnym wywożeniem psów za miasto? - spytał Andy. - Przyznam ci się do czegoś. Tak naprawdę, to nie chodziło mi o to, żeby ci coś wynagradzać. Po prostu

pomyślałem, że byłoby fajnie. Bo, wiesz...

- Tak?

- Bardzo cię lubię...

- Lubisz dziewczynę w okularach, która udaje mądrzejszą, niż jest naprawdę? - Helen mówiła poważnym tonem, ale jej oczy się śmiały. - Powiedz prawdę. Wymyśliłeś ten temat specjalnie dla mnie? Żeby mi dokopać?

- Dla ciebie, ale nie po to, żeby ci dokopać.

- Więc po co?

- Żeby zwrócić twoją uwagę. Roześmiała się.

- Nie musiałeś robić nic, absolutnie nic, żeby zwrócić na siebie moją uwagę.

- Nie miałem o tym pojęcia.

- Więc wymyśliłeś ten genialny temat.

- Wiem, że był idiotyczny. Przepraszam. Zresztą sama kiedyś udowodniłaś, że faceci to głupki.

- Teraz tego nie powiedziałam - zastrzegła się Helen.

- Ale może w tym wypadku nie chodziło jednak o męską głupotę.

- A o co?

- O to, że ludzie... czasami zachowują się... nienormalnie.

EPILOG

Śnieg skrzył się w ostatnich promieniach słońca.

- Chyba już wystarczy na dzisiaj - powiedziała Helen.

- Zmarłaś? - spytał Andy, obejmując ją mocniej.

- Troszeczkę.

Zagwizdał i natychmiast przybiegło do niego jedenaście psów. Tylko Capri, która jeszcze nie nauczyła się karności, wahała się, co robić. Dopiero kiedy zobaczyła, że Helen wyjmuje z kieszeni smakołyki i nagradza jej towarzyszy, uznała, że warto przybiec.

Andy otworzył tylne drzwi furgonetki i zwierzaki, jeden po drugim, wskoczyły do środka.

- Nad czym się tak zastanawiasz? - spytał, zanim zamknął drzwi.

Helen rzeczywiście się zamyśliła.

- Nad tym, czy zagrażamy tylko małym przedsiębiorcom, czy także zdrowemu funkcjonowaniu społeczeństwa.

Andy roześmiał się.

- No tak. Mamy już dwanaście psów. Jesteśmy dużą firmą - zażartował.

- Ale chyba jeszcze nie korporacją? - spytała Helen.

- To się chyba nazywa holding, kiedy dwa przedsiębiorstwa łączą się ze sobą?

- Chyba tak.

- No, chodź, mój współniku, bo mi całkiem przemarzniesz - powiedział Andy i mocno przytulił swoją dziewczynę.